cena 1 zł.

WYMIARY 3

miesięcznik społeczno-literacki

czerwiec 1938

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

Kazimierz Czachowski

„Każdy naród powinien starać się o to, ażeby rozmnożyć szlachciców, a wytępić chamów, bo to jest najpodlejszy gatunek człowieczy i niestety najliczniejszy. W nim mieści się każdy głupiec, złodziej, oszust, gwałciciel, morderca — wszystkie okazy barbarzyństwa i podłości. Jeżeli ludzkość nie zdziczeje i nie zniknczemnieje, lecz udoskonali się, to będzie w przyszłości tylko szlachtą".

W słowach tych, wypowiedzianych przez starego szlachcica, dodatniego przedstawiciela swej sfery, owych „Nałęczów" z jednej z ostatnich powieści twórcy „Duchów", streszcza się główna idea Aleksandra Świętochowskiego, który przez całą swą 70-letnią działalność publicystyczną głosił potrzebę umoralnienia człowieka.

W imię tej potrzeby Świętochowski przeciwstawiał się wszelkiej społecznej obłudzie i partyjnej demagogii; sam się mianował „posłem prawdy", bo niezłomnie walczył o jej zwycięstwo w życiu człowieka, narodu i ludzkości; przy sztandarze swej idei, podjętym za młodu wraz z gronem pozytywistów polskich, we wzniosłym osamotnieniu wytrwał do kresu swego długiego i pracowitego żywota.

Urodzony 18 stycznia 1849 roku w Stoczku na Podlasiu, Aleksander Świętochowski nauki gimnazjalne pobierał w Siedlcach i Lublinie, gdzie kolegował się z Prusem i Ochorowiczem. W roku 1866 wstąpił na wydział filologiczny warszawskiej Szkoły Głównej, do której wychowanków należeli także Chmielowski, Dygasiński, Kotarbiński, Sienkiewicz i inni wybitni przedstawiciele pokolenia pozytywistów, którego właśnie Świętochowski stał się głównym szermierzem.

Na to stanowisko przywódcy ideowego wybił się rychło, bo już pod koniec roku 1870, gdy jako 21-letni absolwent uniwersytetu warszawskiego rozpoczął swą działalność publicystyczną na łamach „Przeglądu Tygodniowego", wydawanego w Warszawie przez Adama Wiślickiego. Świętochowski uczynił z tego pisma wpływowy organ polskiej inteligencji postępowej. Jego ostre i cięte pióro zdobyło sobie od razu duży posłuch wśród młodych, a oburzenie wśród starych.

Zanim więc w r. 1876 doktoryzował się w Lipsku na podstawie rozprawy historyczno-filozoficznej o powstawaniu praw moralnych i następnie bezskutecznie zabiegał o lwowską habilitację, już



Portret A. Świętochowskiego pędzla St. Witkiewicza

w latach 1870—75, jako naczelny publicysta „Przeglądu Tygodniowego", Świętochowski stał się znanym i uznanym wodzem duchowym młodego pokolenia pozytywistów. I wtedy już sformułował i ogłosił program organicznej pracy u podstaw, której celem było podniesienie społeczeństwa polskiego po klęsce ostatniego powstania, odrodzenie i skrzepienie sił narodowych na nowych podstawach „samodzielności wewnętrznej", czyli przez pracę, oświatę i postęp cywilizacyjny.

Obdarzony bojowym temperamentem człowieka idei i mocną wiarą w słuszność swej sprawy, od pierwszych swych wystąpień Świętochowski okazał świetny talent polemisty, wybitnie indywidualny i niepospolicie wyrobiony, pewny siebie i podbijający czytelników odwagą niezależnej myśli, siłą logicznego rozumowania i olśniewającymi błyskami wybornego intelektualizmu.

Trybunem ludu Świętochowski nie był nigdy, chociaż o krzywdy ludu gorąco bojował, rolę szlachty uważał za zakończoną i przyszłość rozwoju narodowego wskazywał w wychowaniu obywatelskim i kulturalnym warstw ludowych, zwłaszcza zaś wybitnych jednostek, aby stać się one mogły duchami przewodnimi społeczeństwa na drodze do powszechnej sprawiedliwości, do zwycięstwa prawdy i do szczęścia człowieka. Albowiem zdaniem Świętochowskiego „najdalsza przyszłość należy nie do ludzkości, nie do narodów, nie do żadnych grup i stronnictw, lecz do człowieka, który kiedyś pozostanie jednym i powszechnie uznanym bogiem na ziemi".

Nie tylko pod tym względem przypominał Woltera, którego stuletnią rocznicę śmierci w r. 1878 uczcił też Świętochowski pięknym szkicem biograficznym, wydanym w osobnej książce. Przytoczył tam m. in. słowa Condorceta o Wolterze, które o Świętochowskim dosłownie powtórzyć można, że życiorys jego winien być „historią wpływu, jaki on wywierał na przekonania swojego czasu; wreszcie historią długiej wojny z przesądami, którą im wypowiedział od młodości, a prowadził do ostatniej chwili".

Ów wódz pozytywizmu polskiego, pesymistyczny krytyk rzeczywistości społecznej i nieugięty czciciel rozumu był krańcowym idealistą. Poszukiwał on prawdy na drodze abstrakcyjnej myśli, nie uznawał żadnych kompromisów praktycznych i w[illegible] doskonałości. By[illegible] jednak [illegible] łym na błędy lud[illegible]ie, tylko chciał wyzwolić z nich czł[illegible]ieka przez umoralnienie. Dlatego t[illegible] w swej walce o god[illegible]ność człowieka [illegible]zestrzegał czystości nie tylko celów l[illegible] i środków. Stał się więc przede wszy[illegible]kim wielkim moralistą.

Ze zmierzchem pozytywizmu, jako doktryny liberalnego mieszczaństwa, rola publicystyczna Świętochowskiego, świetnie rozwinięta na łamach wydawanej przez niego w latach 1881—1907 „Prawdy", była zakończona, ale indywidualne znaczenie pisarza i myśliciela, chociaż dawną popularność utracił, zachowało swą wysoką, dostojną i odrębną wartość. W Polsce odrodzonej z własnej woli pozostał w dumnym odosobnieniu, nadal jednak czynny i do ostatka budzący żywe zaciekawienie każdym swym nowym aktem publicystycznym, nawet przez przeciwników ideowych otaczany pełnym szacunkiem, czego świadectwem było zwłaszcza uwieńczenie pisarza jako pierwszego laureata łódzkiej nagrody literackiej.

Głównymi wyznacznikami osobowości twórczej Świętochowskiego to przede wszystkim głęboki ugruntowany humanizm, wielkoduszny altruizm i szlachetny idealizm, czyli ogólna doskonałość stylu duchowego, ale również niezależny intelektualizm i piętno myślowego artyzmu, wyrażającego ów wprawdzie z chłodem abstrakcyjnego rozumowania, lecz w nieposzlakowanej formie bogato wyrobionej prozy, okraszonej polotem retorycznego patosu.

W literackiej puściźnie Świętochowskiego dział najobszerniejszy stanowią pisma publicystyczne, przeważnie rozrzucone po czasopismach, godne jednak osobnego wydania w obszernym wyborze. Charakter na pół publicystyczny mają także jego rozprawy filozoficzno-moralne, prace kulturalno-historyczne i utwory beletrystyczne. Z tych ostatnich odrębną uwagę zwracają wcześniejsze obrazki realistyczne z cyklu pt. „O życie", zwłaszcza najszerzej znana „Chawa Rubin", nowela o niedoli zapracowanej Żydówki w walce o byt na nizinach społecznych. Należą tu również „Karl Krug" i „Klemens Boruta", w których na tle walki o chleb między tubylcami a bratnimi przybyszami z dzielnic narodowych lub też pod uciskiem obcego najeźdźcy, już w latach 1878—1880 wprowadził Świętochowski tematy z współczesnego życia Górnego Śląska. Utwory te, zakończone pogłosem autorskim o wydźwięku krwawej ironii, są przypowieściami, które mają pouczać czytelnika o potrzebie czynnej miłości bliźniego.

Bogata zawartość ideowa, mistrzostwo dialektyki myślowej i świetność stylu pisarskiego Świętochowskiego najpełniej i najpiękniej ujawniły się w jego utworach dramatycznych, zwłaszcza w arcydziele autora, jakim są „Duchy", zasługujące na zestawienie z wcześniejszą „Nieboską komedią" Krasińskiego i z późniejszą „Różą" Żeromskiego. Nie tylko ze względu na pokrewieństwo rodzaju literackiego, lecz również z powodu pewnych wyraźnych podobieństw formalnych i tematowych. Oto jak niespodziewanie zazębiają się koła twórcze pozytywistycznego idealisty z sąsiednimi kręgami wzlotów romantycznych. Nie nadaremnie tę poprzez wieki ciągnącą się powieść dramatyczną Świętochowskiego mianował Tadeusz Ulanowski (w „Banku Chrystusa") przetłumaczonym na prozę „Królem-Duchem". Choćby wydawało się to przesadą, za którą świadczą pozory, a mimo postawę myślową, zbliżoną raczej do „Rodu ludzkiego" Staszica, „Duchy" — podobnie jak arcypoemat Słowackiego — są zaiste wielką i wyczerpującą syntezą poetycką poglądów i ideałów swego twórcy, ujętą w alegorycznym pochodzie dziejów ludzkości, od ich barbarzyńskiego zarania aż po teraźniejszą dobę społecznego zamętu. Na tak szeroko rozwiniętym tle przedstawił Świętochowski indywidualne wysiłki pary szlachetnych „Duchów", Ariosa i Orli, dążących do uszczęśliwienia ludzkości przez wyzwolenie człowieka.

Widzimy ich w dziele pisarza po raz ostatni, jako tych, „którzy stoją przy słońcu, odrywają z niego promienie i rzucają je na ciemną i ciernistą drogę, po której idzie znużony i cierpiący człowiek". Do tej samej rodziny wzniosłych „Duchów" należał Świętochowski. Jeśli zaś nie wszystko, co napisał, trafia do naszego przekonania, to ów jego główny wysiłek, ta jego walka duchowa o prawdę i sprawiedliwość, zapewnia mu trwałą i żywą pamięć, jako o wielkim humaniście, pięknym człowieku i świetnym pisarzu.

WALKA O CZŁOWIEKA

Tadeusz Sarnecki

Chwila obecna jest wielce charakterystyczna, wszyscy żyjemy pod terrorem niespokojnej i nerwowej atmosfery, która ogarnęła już cały świat. Niepokój nasz całkowicie jest usprawiedliwiony, na wszystkich bowiem frontach ludzkiej działalności rozgorzała zacięta walka i nie ma widoków na rychły jej koniec. Walka ta ciągnie się zbyt długo w okresie tak gwałtownych zmian społecznych i politycznych, jeśli jednak pragniemy widzieć jej początek w zażartych sporach ideologicznych największych dzisiaj politycznych systemów, grubą popełniamy omyłkę. Korzenie niemal każdej sprawy dnia dzisiejszego tkwią bardzo mocno w Wojnie Światowej. Jej wybuch, jak i jej koniec był wykładnikiem głębokich konfliktów, które różniły wielkie mocarstwa nie tylko w kwestiach współżycia politycznego i gospodarczego, ale i w kwestiach natury ogólniejszej — socjalnej i religijnej. Słusznie też zauważono, że Wojna Światowa była dla historii momentem przełomowym; o ile jednak zakończyła pewien okres dziejów ludzkich, o tyle nie stworzyła jednolitej podstawy dla narodzin nowej epoki. Jak za magicznym zaklęciem wyładowały się z człowieka tuż po jej zakończeniu wszystkie siły żywotne w poszukiwaniu nowych form życia i nowych form wyrazu artystycznego. Rewolucyjne nastawienie umysłów rodzi nowe koncepcje i śmiałe próby zupełnie innego spojrzenia na świat, przeraża jednak natychmiast ich wielość i brak harmonii w ujęciu ogólnym. Zupełnie inny porządek rzeczy urasta nawet do miary powszechnie uznawanego dogmatu. Zmienia się wszystko, nauka, sztuka, polityka, obyczaje i moda. Literatura głosi rewolucyjne hasła formy i treści, przeżywamy okres manifestów i krzyków, histerii, konwulsji i niezdrowej egzaltacji, połowę uważamy za całość, fragment formy otrzymuje prawo do życia jako pełny jej wyraz. Jest to więc okres, który przypomina wszystkie teogonie — był chaos, żywioły w ciągłej wojnie toczyły walkę o przewagę nad resztą i nic się jeszcze nie stawało. Do tej pory nie padło z żadnej strony słowo-stań się! — słowo o takiej mocy, aby walczące z sobą żywioły posłuszne jednej woli wyłoniły ze siebie nowy świat.

Człowiek w tym wszystkim był na ogół biernym widzem, którego pasjonowały pewne procesy samym swym bytem. Nie wypowiedział się za żadnym z nich w sposób zdecydowany, nie tworzył sam tych procesów przez swój udział masowy. Nawet najbardziej dziś agresywne systematy polityczne, jak komunizm i faszyzm, zorganizowała nieustępliwa wola wybitniejszych jednostek dzięki niezwykłemu uporowi i wytrwałości. Systematy te doczekały się zresztą w niektórych krajach powszechnego entuzjazmu i z tą chwilą weszły w nową fazę walki, walki uniwersalnej o orientację międzynarodową. To starcie ideologii na terenie ogólno-światowym zaczyna wprowadzać pewien porządek w dotychczasowym chaosie przez organizowanie frontów walki. Dla celów politycznych znika z nauki i sztuki, z życia, obyczajów i etyki wielość i różnorodność form, choćby były pożyteczne i twórcze. Linia politycznych okopów niweluje różnice, izoluje przeciwności, zagłusza indywidualność w imię swoich zasadniczych haseł. Dzieje się to z organizmami państwowymi, co dzieje się w czasie choroby z organizmem człowieka. Gdy tylko nabiera sił i przezwycięża słabość, natychmiast izoluje miejsca chore, lokalizuje dolegliwość i otacza je limfą w swoistych obozach koncentracyjnych. Później szykuje się do walki decydującej, aby po jej wygraniu rozpłynęło się wszystko „po kościach".

Kto przy tym wszystkim umie patrzeć na aktualne zjawiska z perspektywy czwartego wymiaru, ten oczywiście obok uczucia niepokoju przeżywa dziwne zakłopotanie i stara się dociec, jakie to przyczyny wywołują ten ciągły ferment i w imię czego. Odpowiedź nie nastręcza się łatwo z wielu powodów, stoimy bowiem z tym pytaniem przed wrotami filozofii, wpływamy nim na niepewne drogi metafizyki. Może jednak jedna rzecz daje się częściowo wy-

jaśnić. Problem zresztą nie jest nowy i niepokoi od dawna. Człowiek zaczął swój pochód dziejowy niemal jako samotnik i kiedy wytoczył walkę o wyzwolenie się z pod przewagi przyrody wszystkim jej siłom, związał się jednocześnie w organizmy społeczne, aby popaść w ich niewolę. Organizmy te coraz bardziej komplikują życie, a jednocześnie człowiek coraz silniej czuje wartość swej osobowości, a co za tym idzie musi z dnia na dzień bardziej cenić swą wolność. Tutaj dopiero następuje tragizm naszego życia i to tym bardziej, że wszystkie systemy polityczne, religijne i naukowe pracują po to, aby właśnie wyzwolić człowieka jako wartość samą dla siebie. Obiecuje to komunizm przez zniesienie klas społecznych, obiecuje to faszyzm przez organizację życia, zależną od wodza, a oba systemy w sposób bezwzględny i nieubłagany pozbawiają woli indywidualnej na rzecz abstrakcyjnej woli zbiorowej.

W tym konflikcie organizacji i jej zachłanności ze swobodą świadomego swej wartości człowieka upatrywać jestem skłonny główne źródło niepokoju. Jak długo nie wynajdzie się między tymi sprzecznościami drogi wyjścia, tak długo nie nastąpi okres „raju", okres ludzkości bez walk i zawiści, a jak powiada wiara chrześcijańska — okres królestwa bożego.

W tej zażartej walce o człowieka bierze również czynny udział obok religii literatura całego świata. Religie używały już dla swej idei miecza nie tylko na obronę, ale i na ekspansję. Literatura zaś nigdy nie zamieniała się z oręża duchowego na fizyczny. Jest poprostu sumieniem człowieka i ta jej rola spokrewnia ją w sprostej linii z twórczością proroków wszystkich narodów. Tuż po wojnie literatura na pewien czas zapomniała swej roli, choć i wtedy nie zatraciła charakteru sumienia. Kwestia wojny i jej aspektów etycznych znalazła w niej swoje najgłębsze przemyślenie, na każdym też kroku pisarz poświęca całą swą uwagę człowiekowi i słusznie — największe bowiem znaczenie posiada dla świata sam człowiek, na nim zaczyna się i kończy każdy proces naszego życia. Już sama natura przez obdarzenie go niepowtarzalnym nigdy indywidualizmem podnosi człowieka do wartości samej dla siebie. W każdym systemie mieści się dlatego ogromny fałsz, bo jeśli przyjmujemy, że człowiek doskonali się z każdym dniem i coraz bardziej zbliża się do swego ideału, że zgodnie z każdą religią świata zbliża się do swego boga, jako najwyższej i najdoskonalszej istoty, to nie możemy się zgodzić na to, aby każdy człowiek mierzony był wypadkową cech i wartości szerokiego ogółu. Każdy ma oczywiście prawo dążyć do doskonałości i w imię tej prawdy walczyć o odpowiednie warunki życia, ale z tego nie wynika, że każdy posiada tę samą wartość. W systemach właśnie politycznych, opierających się na procesach masowych, tkwi ten fałszywy pogląd na wartość człowieka. I dalej system musi się liczyć z nastrojami masy, przez co wyzwala w procesach społecznych najniższe instynkty, te same, które wyzwolił w swej polityce starożytny Rzym, aby je później nakarmić igrzyskami w cyrkach i krwią pierwszych chrześcijan, te same, które Aleksander Świętochowski nazywał chamstwem, właściwym głupcom, złodziejom, oszustom, gwałcicielom i mordercom; te same, które są dowodem barbarzyństwa i podłości.

Procesy masowe mogą mimo to spełnić dla dziejów ludzkich rolę dodatnią. Oceniając też chwilę obecną nie można



Arno Breker — Prometeusz
(Z ostatniej wystawy rzeźby niemieckiej w Polsce)

potępiać każdego ruchu, bo nie wiemy jeszcze jakie on wywoła procesy i komu otworzy drogę do zwycięstwa. Walka o człowieka prowadzona przez nieznane i niezależne od człowieka siły najróżniejsze przybiera kształty. Należy jednak przypuszczać, że ta walka, która czeka nas w czasie najbliższym, przyczyni się w sposób decydujący do wyzwolenia człowieka i jego symbolicznej właściwie wartości — człowieczeństwa.

DOKĄD ZMIERZA MŁODA LITERATURA?

Redakcja „Wymiarów" chcąc zbliżyć Czytelników do najaktualniejszych zagadnień współczesnej literatury umieszcza poniżej na inaugurację tej akcji dyskusję pisarzy. W rozmowie na temat dróg młodej literatury zabierają głos: Jerzy Andrzejewski, Jan Brzękowski, Józef Czechowicz i Adam Galis.

Galis:

— Spotykamy się ze sobą, aby omówić aktualne sprawy młodej literatury polskiej.

Czechowicz:

— To i dobrze się składa, że w naszym gronie jest dziś gość przelotny z szerokiego świata, paryżanin od lat wielu, Brzękowski.

Galis:

— Mamy więc w swoim gronie dwóch przedstawicieli awangardy, dwóch wiecznych poszukiwaczy.

Andrzejewski:

— Bardzo się z tego cieszę, ponieważ chciałbym przedyskutować pewien temat. Nie dalej jak wczoraj rozmawiałem z pewnym inteligentnym czytelnikiem, który w trakcie rozmowy o młodej literaturze zaskoczył mnie takim pytaniem: jak pan uważa, w jakim kierunku zdąża młoda literatura, w kierunku stabilizacji czy poszukiwania?

Czechowicz:

— Ciekawy jestem jaką dostał odpowiedź?

Andrzejewski:

— Poprosiłem go o dwa dni do namysłu.

Brzękowski:

— Ten znajomy Andrzejewskiego postawił sobie bardzo zasadnicze pytanie, które proponuję wszechstronnie przez nas przedyskutować.

Andrzejewski:

— A więc na wokandzie: stabilizacja czy poszukiwanie?

Czechowicz:

— Co to jest poszukiwanie, mniej więcej wiadomo; ale kiedy mowa o stabilizacji, to trzeba się porozumieć, co ten termin oznacza. Stabilizacja, ale czego?

Brzękowski:

— Proszę o głos. Chciałbym dokładniej sformułować tę kwestię.

Istotnie można mówić teraz o dążeniach do pewnej stabilizacji w literaturze. Skończył się już okres szukania za wszelką cenę nowych rzeczy, obecnie zdobycze nowej sztuki stały się już własnością powszechną. Prawie każdy pisarz bez trudu operuje tymi wynalazkami i chwytami, których wynalezienie kosztowało nas wiele lat pracy. Nie sądzę jednak, by okres twórczych poszukiwań skończył się całkowicie, gdyż nie wierzę, żeby prawdziwy artysta mógł długo spoczywać na laurach.

Andrzejewski:

— To, co pan powiedział, dotyczy jednostki i jest z pewnością słuszne. Tym nie mniej możemy spotkać w dziejach literatury cały szereg okresów, trwających nawet po kilkadziesiąt lat, które są okresami zupełnie wyraźnej stabilizacji. Na przykład u nas epoka stanisławowska. Jeśli się weźmie utwory takiego Krasickiego, Trembeckiego, Osińskiego, Koźmiana, to widzimy, że wszyscy oni

operują tą samą poetyką, tymi samymi prawidłami artystycznymi.

Brzękowski:

— Dostarczył pan argumentu na rzecz tezy o konieczności twórczych poszukiwań. Czy ten okres stabilizacji nie jest jednocześnie okresem stagnacji, zastoju?

Czechowicz:

—Jestem innego zdania. Ale nie o przykłady chodzi. Sądzę, że pęd ku nowatorstwu jest zjawiskiem stałym w dziejach literatury, bo on tylko warunkuje jej przyszłość. Jeśli chodzi o stabilizację, to dlatego chyba nie możecie się panowie zgodzić na jedno, że ciągle jeszcze nie określiliście co się stabilizuje. A poza tym bliższe określenie tej kwestii będzie zupełnie inne dla poezji, a inne dla prozy.

Galis:

— Wobec tego, wy poeci, określcie, czegoście szukali w ostatnich czasach i co uważacie za wartości ustabilizowane?

Brzękowski:

— Przychodzi mi na myśl, że da się to określić w jednym zdaniu: szukaliśmy po prostu wszystkiego. Nowego języka, nowej metafory, nowej składni, nowej wyobraźni, nowej treści i nowego człowieka. Zupełnie błędnie przyczepiono do awangardy etykietkę, iż jej poszukiwania ograniczały się tylko do nowej formy. Niewątpliwie forma była rzeczą bardzo ważną dla nas, ale nie była jeszcze wszystkim. Nowa metafora była tylko drobną cząstką naszych poszukiwań. Tak zresztą jak i sama forma. Sądzę, że najważniejszą zdobyczą awangardy była przebudowa całego sposobu myślenia i odczuwania. Powiem, że było to stworzenie nowej rzeczywistości.

Galis:

— Nowej rzeczywistości? Trochę za mocno. Istotnie szukaliście i znaleźliście wiele. Taka strofa na przykład jak w wierszu Czechowicza „Sen“:

ziemio wonna winna i lunna
bita mrokiem nocy szklannej
śpiewem dzwonów dzwonna burgundia
durzy czarem snów porannych

tak przedtem nie mówiono. Ale w prozie jest trudniej z takimi nowymi chwytami. W prozie poszukiwanie oznacza coś zupełnie innego.

Czechowicz:

— Przepraszam, jeszcze nie wyczerpaliśmy kwestii poezji. Przede wszystkim trzeba powiedzieć, że prócz wymienionych już zdobyczy poetyckich awangardy rozpowszechnia się w młodej liryce polskiej odrealnianie pojęć. To znaczy, że ambicją poety jest takie operowanie materiałem słownym, aby wywołał on wrażenie wieloznaczności i barwnej mglistości, nie zaś suchego nazywania rzeczy po imieniu. Posłuchajcie fragmentu wiersza Brzękowskiego:

„W uliczce wciśniętej między twoje słowa wąskie
obłe — serce na usta wybiega jak rtęć,
wtulony w szarość muru — w niewyszumiałe
marzenia nanizane w pierścień.
połykasz gorący pocałunek, parzą wargi, bije krew,
krew krzykiem wybiega na usta,
wydyma pierś cień,
nad oczami
czarną chustą
horyzont prze hyla się, wali, zapada
w wargi zaciśnięte dookoła ust.

Z wiersza widać, że chodzi nie tylko o pozbawienie pojęć cechy realności, ale i o coś więcej: o antynaturalistyczną postawę. W liryce dziś to już można powiedzieć śmiało i otwarcie: nie tylko stabilizuje się antynaturalizm. On obowiązuje.

Galis:

— Powiedzcie mi wobec tego, w którą stronę pójdą wasze dalsze poszukiwania. To, coście zdobyli, jest dziś udziałem powszechności poetyckiej. Chcecie chyba pójść naprzód. Dokąd?

Andrzejewski:

— Zanim pójdziemy dalej może jeszcze jedną rzecz wyjaśnimy. Chodzi mi o taką sprawę. Rozumiem, że poezja współczesna zrywa z realiami rzeczywistości. I stwarza swoją własną rzeczywistość. Ale poza, dajmy na to, stołem, rankiem i oceanem istnieje jeszcze cały świat wewnętrznych przeżyć człowieka. Jako przykład możemy wziąć przeżycie religijne. Jest ono także pewną powszechną rzeczywistością. Czy jest łączność między waszą poezją a tą płaszczyzną wewnętrzną człowieka.

Brzękowski:

— Właśnie ta nowa poezja daje pełny wyraz przeżyciom metafizycznym, a więc i religijnym. Właśnie przez usunięcie elementów czysto życiowych z poezji uwypukla się tym bardziej jej uduchowiony charakter. Jest ona o wiele czystsza niż poezja dawna, słowami tylko związana z przeżyciami tego rodzaju. Występuje to zwłaszcza u Francuzów. Przecież większość młodych awangardowych poetów we Francji to gorliwi katolicy, którzy stanowisko to wyrażają w swej poezji.

Andrzejewski:

— Więc to znaczy, że w ramach waszego antynaturalizmu uznajecie realność świata psychicznego?

Czechowicz:

— Tak, uznajemy, ale pomnożoną o cały świat wyobraźni. A ten świat dopuszcza przecież nawet wymyślenie uczuć, jakich nigdy nie było.

Galis:

— W tej sferze więc nie będziemy nigdy mówili o stabilizacji. Tu możliwości są tak wielkie, tak nieskończone, jak wielkie są granice fantazji. Nowy wiersz przyszłości może być sformułowaniem uczucia, jakiego nie było. Więc jednak poszukiwanie...

Czechowicz:

— Dlatego mówiłem na początku, że pęd ku odkrywczości warunkuje przyszłość literatury... liryki.

Andrzejewski:

— Tak mają się sprawy w poezji, inaczej jednak przedstawiają się w prozie. Wynika to z zasadniczej różnicy pomiędzy liryką a prozą. Wiersz operuje niewielką ilością jednostek wzruszeniowych, a bardzo często osnuty jest dokoła jednego motywu uczuciowego. Obrazowo moglibyśmy to porównać do jednego uderzenia. Proza natomiast, pozostając w ściślejszym kontakcie z realiami życia, jest do pewnego stopnia naśladowaniem rzeczywistości.

Brzękowski:

— Nie jest, ale bywa...

Andrzejewski:

— I to w lepszych swoich przedstawicielach.

Brzękowski:

— Przepraszam, zupełnie się z panem nie zgadzam. Proza może wyrażać życie, dawać jego artystyczne transpozycje, ale nigdy go nie naśladuje.

Andrzejewski:

— Nie miałem bynajmniej na myśli naiwnego realizmu to znaczy jakiegoś nieuporządkowanego przedstawiania rzeczywistości. Takim realizmem byłoby dajmy na to drobiazgowe opisanie wszystkich przedmiotów znajdujących się w pokoju. Byłoby to skatalogowanie. I tendencje w tym kierunku wyraźnie zdradza reportaż.

Andrzejewski:

— Pozwólcie mi dokończyć. Uważam, że o jakości dzieła literackiego decyduje świat wewnętrzny autora. Oczywiście obok jego kunsztu pisarskiego. Przeżycie wewnętrzne to pewnego rodzaju okulary, przez które patrzy się na rzeczywistość. I dlatego nie może już być mowy o realiźmie, tak jak go wyżej sformułowaliśmy. Przeżycie autora deformuje rzeczywistość i odkrywczość prozaika polega na harmonijnym skomponowaniu tych widzeń wewnętrznych z wizją świata otaczającego.

Brzękowski:

— Ale tu właściwie wszedł już pan na podwórko poetyckie. Widzę w tym duże analogie z postawą poetycką awangardy.

Galis:

— Owszem, są tu analogie w postawie zasadniczej, bo... to jest postawa każdego twórcy. Ale są wielkie i zasadnicze różnice. Odkrywczość prozy nie leży w obszarze małej formy, zdania czy metafory. Choć i proza wiele się pod tym względem od poezji nauczyła. W prozie odkryć można nowe ustosunkowania ludzi i klas lub typów psychicznych; proza w najbardziej tradycyjnej formie może wyrazić najdalsze, jakbyście wy powiedzieli, awangardowe układy psychiczne. I dlatego może nowatorstwo formalne na terenie powieści bankrutuje w naszych oczach, a klasyczny typ powieści różniczkuje się i wzbogaca o zdobycze wiedzy o człowieku, o nową psychologię.

Czechowicz:

— Po pierwsze, stwierdzić należy, że proza istotnie ma brzydkie nałogi konserwatywne. Po drugie, że jeśli chodzi o odkrywczość i poszukiwania, to idzie ona zawsze za liryką. Liryka jest warsztatem laboratoryjnym literatury. Proza z tego kapitału korzysta. Oto zemsta za małą formę.

Andrzejewski:

— Jest jeszcze jedna bardzo ważna przyczyna, dlaczego proza ciąży ku konserwatyzmowi. Powieść jest rozbudowaniem pewnej anegdoty, powiedziałbym nawet, że najlepsze powieści miały anegdotę banalną. Miłość z przeszkodami, kariera życiowa, zbrodnia. W okresie powojennym był pewien odwrót od akcji, od fabuły. „W poszukiwaniu utraconego czasu" Prousta nie można opowiedzieć. Rewelacyjność odkryć Prousta w dziedzinie psychologii została przez epigonów jego doprowadzona do absurdu.

Brzękowski:

—A ja znów się z panem nie zgadzam, przeciętna dobra powieść psychologiczna francuska daje dziś w zakresie psychologii o wiele więcej niż sam Proust. On był tylko tym, który pierwszy wszedł na tę drogę i na tym polega jego zasługa.

Andrzejewski:

— Ale ta wyłączność psychologii sprowadziła pisarza do roli rejestratora stanów psychicznych. W szeregu dobrych powieści możemy znaleźć całe stronice przypominające żywcem fragmenty podręczników psychopatologii.

Brzękowski:

— Ale czemu panowie występujecie przeciw przerostom psychologicznym powieści psychologicznej, skoro jej wcale u nas dotąd nie ma...

Andrzejewski:

— To może zbyt krańcowe ujęcie.

Galis:

— Ale odbiegamy od tematu, Andrzejewski połączył poprzednio kwestię tradycjonizmu z fabułą, a wy nie daliście mu wypowiedzieć się do końca.

Andrzejewski:

— Chodzi o to, że fabuła siłą rzeczy już nawiązuje do świata zastanego, który wy, poeci awangardy, możecie przekreślać. Prozaik ma do rozporządzenia pewną określoną ilość schematów prozy powieściowej, dlatego całkowicie jestem zwolennikiem konserwatywnego gatunku powieści i uważam, że po szeregu poszukiwań formalnych w powieści właśnie jako w gatunku literackim pożądana jest stabilizacja, nawrót do wielkich klasyków XIX w.

Brzękowski:

— Nie lubię nawrotów do czegoś. Tego rodzaju stabilizacja byłaby jednak krokiem wstecz, reakcją.

Andrzejewski:

— Można na to odpowiedzieć, że biegacz, aby pokonać przeszkodę musi się rozpędzić.

Galis:

— Czy pozwolicie teraz, że spróbuję powiedzieć co myślę o tym przeciwstawieniu „stabilizacja czy poszukiwania". Można to zdanie zrozumieć jako próbę scharakteryzowania dzisiejszego stanu rzeczy i to będzie określało ten dzisiejszy okres ciszy w literaturze polskiej, ale można również rozumieć jako postawienie alternatywy przed piszącymi. W pierwszym wypadku stabilizację określiłbym bliżej jako okres wyrównywania się klasy pisarskiej, wykorzystywania nagromadzonych doświadczeń. Stabilizacja — to zajęcie się typem człowieka współczesnego w Polsce, dopuszczenie go do głosu w literaturze, utrwalenie jego psychiki dla przyszłości. Taką stabilizację powinniśmy uznać za zjawisko pożyteczne i stabilizować swą pracę pisarską na najwyższym poziomie. W obrębie tej stabilizacji pozwolić sobie można na poszukiwania w zwężonym obszarze wybranego przedmiotu, środowiska, konfliktów. Mówię oczywiście o prozie. I myślę również, że stan nasycenia, wypełnienia pewnych założeń literackich ujawni się sam przez się. Tak zwykle zresztą było w literaturach świata. Okazuje się więc, że jest miejsce na poszukiwania w obrębie stabilizacji.

Brzękowski:

— Na to określenie stabilizacji nie mogę się zgodzić. Wydaje mi się jednak, że w pewnym sensie dotknął pan samej istoty zagadnienia. Mianowicie rozwiązanie poruszanych tu spraw leży nie w stawianiu alternatywy, w przeciwstawianiu sobie tych pojęć, jako zupełnie sprzecznych, ale w pogodzeniu ich z sobą. Powinno się istotnie połączyć stabilizację pewnych wartości i pewnego ogólnego poziomu kunsztu pisarskiego z dalszym poszukiwaniem nowych wartości i nowych światów.

Czechowicz:

— Mnie się wydaje, że chociaż rację ma Andrzejewski, mówiąc, iż w prozie stabilizuje się raczej konserwatywny gatunek powieści, to jednak przyszłość młodej literatury leży w zwalczaniu owego konserwatyzmu. Niedaleki jest czas, kiedy to pojęcie prozy opadnie jak owoc dojrzały i zacznie gnić. Po tym dopiero okaże się, że i w prozie podobnie jak w poezji metoda antynaturalistyczna da początek nowemu, bujnemu, rozkwitowi twórczości.

W tym miejscu muszę powołać się na Joyce'a. Jego ostatnia książka „Wirk in progress" — „Dzieło w stawaniu się" — tworzy brzask nowej epoki. Jest to powieść, w której każda z postaci działających jest równocześnie kilkoma osobami, na przykład sobą, Kainem, Archaniołem Michałem i własnym wujem z Ameryki, a główna postać kobieca Anna Livia Plurabella, prócz tego, że jest sobą, jest także pojęciem oderwanym i górą z podręcznika geografii. To zaś, co się dzieje w akcji powieści nie ma precedensu w całej literaturze świata.

Galis:

— Wydaje mi się, że są to szczyty, dalekie mety, do których nam ubogim nie prędko dotrzeć. Nie można być od razu na 8-ym piętrze, kiedy się jeszcze nie przeszło przez parter literatury. Nam by się jeszcze przydał Balzac i Flaubert, Dostojewski i Conrad, Prus, Orzeszkowa, nam trzeba przede wszystkim tej prostej sztuki, której u nas tak trudno się dopatrzyć, sztuk opowiadania, po prostu narracji!

Brzękowski:

— Dlaczego pan pragnie stwarzać sztuczną prostotę. Mieliśmy dość prymitywów często zresztą niezamierzonych w naszej literaturze. Nie mieliśmy jeszcze dotychczas powieści psychologicznej...

Galis:

— Proszę mnie źle nie rozumieć i jeszcze gorzej nie komentować. Potrzeba wielkich narratorów to nie jest wołanie o sztuczną prostotę. Imiona, które wymieniłem, najlepiej określały moją myśl. Pragnę po prostu byśmy umieli przedstawiać sprawy ludzkie w taki sposób, z takim opanowaniem i głębią, jak wielcy prozaicy XIX-go wieku. I zdaje mi się, że Andrzejewski chyba również o tym myślał, kiedy akcentował swój konserwatyzm...

Andrzejewski:

— Nie, mnie nie chodziło o uczenie się. Jeśli wypowiedziałem się za powrotem do prozaików 19-go wieku, to po prostu dla tego, aby wyraźnie podkreślić konieczność powrotu do fabuły.

Czechowicz:

— Więc ostatecznie jak odpowiemy na nasze pytanie: stabilizacja czy poszukiwanie?

Galis:

— Ja bym powiedział: stabilizacja i poszukiwania.

Brzękowski:

— Ale tego nie można powiedzieć znajomemu pana Andrzejewskiego.

Czechowicz:

— Mitycznemu znajomemu trzeba odpowiedzieć: wyrok jeszcze nie zapadł. Z powodu trudności przy obmyśleniu motywacji wyroku. Andrzejewskiemu poradzimy, aby przestał obcować z ludźmi, którzy zadają tak kłopotliwe pytania. Niech sobie staranniej dobiera koło znajomych.

Andrzejewski:

— Tego i wam życzę...

(Do druku podał Adam Galis)

RYMY POBOŻNE

Józef Czechowicz

1

smutku pora siwa
porosła mieszkania sprzęty
wiatr chmurzyska przywiał
bladym odmętem
okno szumiące krzaki
kosaciec powiewa dłonią
to ty dajesz znaki
Persefono

2

jutro czyha we wszystkim
nim do niego zegary dotrą
błyskawic jarzy się błyskiem
widnokrąg
koniec dnia ma oczy sarnie
błyskawice chwytają za nóż
nam i bitwom elementarnym
na dwoje wróżący Janus

3

błądząc miastem nad sobą się użal
ang ang ang
katedr sennych dzwonienie
łamie ulic promienie
takbym tę sprawę nazwał
neonów konstelacje
jak Męki Pańskiej stacje
krwawią asfalt
blask czerwona perła duża
ang ang ang
błądząc miastem nad sobą się użal
takby szepnąć mogła z mozajki w bazylice
roniąca perły Eleusa



Andrzej Pronaszko — Ucieczka Marii do Egiptu
(Własność Miejskiego Muzeum Historii i Sztuki im. J. i K. Bartoszewiczów w Łodzi)

NA TYŁACH

Stanisław Rembek

W pierwszych miesiącach wojny panna Bekierska słabo interesowała się polityką. Rola jej pod tym względem ograniczała się do lojalnego wysłuchiwania uwag i opinii rodziców. Była wtedy w piątej klasie na pensji panny Domańskiej. Jak wiadomo — jest to wiek, który w życiu kobiety otwiera tyle stokroć ciekawszych zagadnień, że nie podobna znaleźć czasu na zajmowanie się sparwami tak przykrymi i denerwującymi jak wojna. Zmieniło się to jednak z chwilą, gdy do Piotrkowa wkroczył pierwszy oddział strzelców.

Było to w słoneczne popołudnie. Miasto zawalone było ruchliwymi zwałami taborów, artylerii oraz kolumnami piechoty i kawalerii niemieckiej. Od wielu już dni i tygodni trwał bezustanny napór mas najeźdźczych na Warszawę. Tego dnia w zgiełk i hurgot wozów, w chrzęstliwe postękiwanie toczących się po nierównym bruku dział, w miarowy jak odgłosy rznętej sieczki szum butów piechoty, w pośpieszne klekotanie kopyt konnicy — wplótł się naraz nieśmiały a srebrny dźwięk trąb orkiestry, grającej dobrze znaną a przecie nigdy nie słyszaną na ulicy melodię, i z Alei Szkolnej na Plac Bernardyński wsunęła się rozfalowana szaroniebieska kolumienka nieznanej piechoty.

Żołnierze byli drobni, ruchliwi i zwinni. Płaszcze mieli obszerne i fałdziste, czapki miękkie austriackie, tylko że z wystającymi różkami i z orzełkiem zamiast „bączków". Karabiny nosili na pasach, co nie wyglądało groźnie. Zresztą występowali przecie na rozległym a ruchliwym tle zielonkawych odmętów powodzi, która zalewała kraj: powodzi zjeżonych stalą wrogów, którzy miażdżyli opór największych potęg świata, którzy nie mieli serca dla słabych, nie mieli miary w bucie wobec zwyciężonych, nie znali, co litość wobec bezbronnych; wrogów, dla których zburzenie miasta, czy rozstrzelanie setki zakładników — choćby kobiet i dzieci — było jedynie zastosowaniem w praktyce ich własnej wielkiej teorii zwycięstwa.

Oddziałek doszedł do gmachu rosyjskiego gimnazjum żeńskiego i stanął przed nim w dwurzędzie. Padły niesłyszane dotychczas przez nikogo w mieście słowa polskiej komendy wojskowej Niewielkiemu tłumkowi widzów, których przejeżdżająca akurat ciężka artyleria zepchnęła wśród niezrozumiałych przekleństw niemieckich na przeciwległy chodnik, zrobiło się głupio. Każdy z nich przecie marzył o polskim wojsku, każdy wierzył święcie na podstawie licznych proroctw, że właśnie ta wojna przyniesie niepodległość ojczyzny, nikt sobie jednak tak mizernie wkroczenia do Piotrkowa zastępów narodowych nie wyobrażał.

Strzelcy wzięli broń do nogi i weszli dwójkami do gmachu gimnazjalnego. Zaraz jednak zaczęli się wysypywać przez drzwi bez karabinów a nawet bez pasów. Dwóch z nich wylazło oknem pierwszego piętra na gzyms nad drzwiami i zaczęło strącać umieszczonego tam dwugłowego orła rosyjskiego. Tłum zaczął się powoli a dyskretnie rozchodzić.

W przeddzień opuszczenia miasta przez Rosjan gubernator miał mowę na ambonie w kościele farnym, w której wyjaśniał powierzonej sobie ludności, że Rosjanie mają zamiar naprzód cofnąć się za Wisłę, żeby wpuścić Niemców, a potem otoczyć ich i zniszczyć, żeby więc miasto nie upadło na duchu, jeśli chwilowo zostanie zajęte przez wroga. Wtedy coprawda wielu podrwiwało sobie z tych przechwałek uciekającego dygnitarza twierdząc, że Niemcy przy swoim szeroko rozgałęzionym szpiegostwie rychło dowiedzą się o tak publicznie wyjaśnianych planach i poprostu wcale się w głąb kraju nie będą kwapili Pierwsze dni wojny potwierdzały nawet te przypuszczenia: Niemcy zajęli jedynie Kalisz i Częstochowę, ale już Piotrków przez kilka dni pozostawał bezpański. Byli już tacy, co mówili, że Moskal zawsze pozostanie głupi. Gdy jednak niesłychane masowe okrucieństwa wojsk niemieckich wywołały ku nim powszechną nienawiść, a dalsze wypadki potoczyły się po linii gubernatorskich przepowiedni, zaczęto wierzyć w powodzenie tak marnie zakonspirowanych planów rosyjskich. Politycy z cukierni „Pod zegarem" dowodzili nawet, że Niemcy posiadają jedynie znakomitą kulturę materialną oraz zmysł organizacyjny, poza tym jednak są barbarzyńcami, głupimi jak wszyscy barbarzyńcy. Toteż lepiej było ukrywać swoje patriotyczne uczucia i poglądy nie narażając

się na zemstę którejkolwiek ze stron walczących.

Tak więc na ulicy Dominikańsk, gdzie mieściło się wspomniane gimnazjum, jako jedyni świadkowie buntowniczego aktu zdzierania państwowego emblematu, pozostali niezadługo jedynie uczniowie w granatowych maciejówkach z błękitnymi wypustkami i w czarnych pelerynach, kilka pensjonarek oraz grupka robotników, najwidoczniej socjalistów, którzy zawsze chętnie uczestniczą we wszelkiego rodzaju akcji wywrotowej.

Właśnie pod gmachem przejeżdżał oddział taborów. Na czele człapał na niezgrabnym koniu równie niezgrabny i gruby oficer niemiecki w nakrytej pokrowcem pikielhaubie i w długim aż po obcasy płaszczu. Strzelcy widocznie ukończyli mocowanie się z symbolem panowania rosyjskiego, bo nagle ogromna i ciężka blacha runęła z łoskotem i wśród kurzu pod nogi oficerskiego stępaka. Ten stanął dęba i z wielkim hukiem podków jął podskakiwać po bruku. Niemczysko, zaskoczone gwałtownym ruchem wierzchowca, z trudem utrzymało na nim równowagę a ujrzawszy sprawców przestrachu konia i swojego zionęło w ich kierunku potokiem urywanych i szczekliwych wyrazów wyciągając przy tym z pochwy olbrzymi rewolwer. Strzelcy na gzymsie na dole przyglądali się temu z minami mocno zakłopotanymi nie reagując nie tylko ruchem, ale i słowem. Na szczęście gruby zaborca ochłonął nieco, schował broń i odjechał na czele swych wozów nie przestając jednak wykrzykiwać.

Po tym zajściu na chodniku pozostały jedne tylko pensjonarki. Robotnicy i uczniowie znknęli. Jak wiadomo — wojska taborowe nie uchodzą za specjalnie imponujący rodzaj broni, toteż fakt, że niemiecki oficer taborowy ośmielił się bezkarnie grozić bronią oddziałowi polskiej piechoty, nazbyt boleśne zranił ich dumę narodową, aby mogli zachować jeszcze pełny szacunek dla tego „pierwszego po powstaniu styczniowym odruchu zbrojnego".

Ale pensjonarki, a w ich liczbie Janka, zupełnie inaczej patrzyły na te sprawy. Dla nich Niemcy byli przede wszystkim „wstrętni i ordynarni" a strzelcy „przystojni i sympatyczni". Z tego przeciwstawienia wynikało ich stanowisko polityczne. Odtąd też Janka wraz z koleżankami codziennie, nawet podczas deszczu, potrafiła godzinami przechadzać się przed kwaterami świeżo przybyłego oddziału, aby wyczekać moment, jak wartownik na widok przechodzącego oficera prężył się przesuwając wielki palec po pasie od karabina. W domu była milcząca i roztargniona, a gdy ojciec rozpoczynał wygłaszać ostro i tendencyjnie zabarwione a okraszone soczystymi komentarzami komunikaty wojenne i polityczne, wychodziła do swojego pokoju. Miała tam jak gdyby arkę przymierza swojego kultu. Była to poprostu szuflada, zawsze starannie zamykana na kluczyk a zawierająca kilka numerów „Wici" oraz „Wiadomości Narodowych", pocztówki z fotografiami jakichś strzelców-literatów, o których przeważnie dotąd mało albo nic nie słyszała, odezwy, orzełki, a nawet rysunek przedstawiający „Brygadiera" z bródką, wykonany według legendy w jednej z cukierni piotrkowskich. Otoczona tymi świętościami koiła tajemne rany duszy, które zadawały jej brutalne i pełne nienawiści słowa rodziców.

Ale ta jej taktyka biernego oporu trwała tylko do chwili, gdy pod ciężkim podcieniem rozłożystych kasztanów ogrodu cerkiewnego przy ulicy Kaliskiej ujrzała na żywe oczy wysokie sztywne czapy, zwisające czamary i sznury, ostrożaste buty i brzękające po chodniku szable ułanów Beliny. Jej pełne uczucia serce wezbrało odtąd do tego stopnia, że nie mogła już dłużej ukrywać entuzjazmu dla promiennej idei, jaką przynieśli z sobą tak pociągający rycerze. Od tego czasu nigdy już nie puściła płazem żadnej złośliwej uwagi „ojczulka". Ten coprawda przycichł nieco, gdyż ucieczka jedynaka Antosia złagodziła jego zaczepne wobec legionów stanowisko. Ograniczało się ono głównie jeszcze do tego, że nie uznawał nowej ich nazwy, jaką zaczęto rozpowszechniać za zezwoleniem naczelnego dowództwa armii austriackiej, po staremu operując terminem „strzelców galicyjskich". Gdy jednak Antoś po powrocie zmarł a Janka mimo to pozostawała wierna swoim przekonaniom, nie minął jeden dzień w domu bez zażartej kłótni politycznej.

Taki stan panował w rodzinie państwa Bekierskich, gdy zjawił się u nich Ludomski.

Janka uważała go z początku za swego naturalnego przymierzeńca, tymczasem zawiodła się głęboko. Jej wielbiciel — jeśli chodziło o politykę — odznaczał się zupełnym brakiem temperamentu i żarliwości w obronie swych zasad i poglądów. Kiedy zaatakowano jego ideały, albo starał się zmienić temat rozmowy, albo milczał wstydliwie. Kryła się w tym zresztą pewna mizerna własnego wyrobu filozofijka.

Kiedy wrócił z frontu, zauważył ze zdumieniem, że trudno mu było spotkać tyłowca, który by go nie pouczał arogancko, czym jest patriotyzm, oraz walka i poświęcenie dla idei. Pomimo, że nigdy na wojnie, nawet w najbardziej niebezpiecznych sytuacjach nie przypuszczał możliwości własnej śmierci, tłumaczono mu, iż nie sztuka jest zginąć dla ojczyzny, ale sztuką jest żyć dla niej. Służył w legionach, gdyż uważał, że w wielkiej godzinie dziejów potrzebna jest Polsce jakakolwiek zbrojna organizacja. W uroczystych chwilach powtarzał zasłyszane gdzieś zdanie: „Jak Chrystus znajduje się wszędzie, gdzie zbierze się choćby trzech wiernych, tak Polska zjawia się tam, gdzie zgromadzi się pod jej znakiem setka bagnetów". Tymczasem wyjaśniano mu, że dla dobra ojczyzny powinien wystąpić przeciw dowódcom. Walczył, aby zdobyć niepodległość — mówiono mu, że dla tego celu powinien był zostać w domu. A oprócz tego na każdym kroku spotykał pogardę i nienawiść za to tylko, że nie siedział bezczynnie jak inni.

Ludomski nie lubił dużo rozmyślać. Nazbierawszy sporo tego rodzaju doświadczeń, wyciągnął z nich prosty wniosek, że widocznie na świecie jedni ludzie stworzeni są do szermowania językiem, a inni bagnetem i że skoro tak, to on powinien siedzieć cicho, dopóki znów jego kolej nie przyjdzie.

Poza tym na jego wstrzemięźliwość polityczną w domu państwa Bekierskich wpływało rozumowanie innej jeszcze natury. Oto od samego początku uważał się za „starającego się" o rękę Janki i wobec tego według wszelkich ustalonych w takich wypadkach prawideł dbał o pozyskanie sobie jak największej sympatii całego otoczenia swego ideału.

I rzeczywiście takie postępowanie wydawało swoje rezultaty. Mama nie mogła się go nachwalić, a ojciec, który z początku wrogo się do „socjała" odnosił, gdy ten wszelkie zaczepki zbywał pełnym szacunku milczeniem, nabrał doń również przekonania. Raz nawet wypowiedział się ogólnie w tej kwestii: „Rozum, zwłaszcza polityczny, nie jest przywilejem młodości — dowodził .— Ja sam przed trzydziestką miałem przewrócone w głowie. Mówią nawet, że kto za młodu nie był socjalistą, ten zostanie szubrawcem na starość. Toteż należy winić tylko tych starych łotrów, którzy sami się kryją, a łatwo zapalną młodzież wysyłają na zgubę".

Ale Jance nie szły w smak bynajmniej tego rodzaju pochwały dla przedmiotu jej miłości.

— To jest wstrętne, ohydne, co ty wyrabiasz z ojcem! — jęła wykrzykiwać po pewnej rozmowie na tematy polityczne, gdy została sam na sam ze swym wielbicielem.

Ludomski bowiem z nikczemną obłudą przytakiwał wyraźnie reakcyjnym a nawet rusofilskim wywodom pana Bekierskiego.

— Więc cóż mam robić? — bronił się napadnięty. — Powiem mu, co myślę to mnie wyleje z domu.

— To niech cię wyrzuci. Możemy się widywać gdzie indziej.

— Ależ zmiłuj się! Pocóż mam sobie z niego robić wroga?

— Więc o opinię ojca chodzi ci więcej, niż o moją?

— Nie więcej, tylko jaki by był w tym sens, gdybym dla głupiej sprzeczki politycznej, która przecie w żadnym razie do niczego nie może doprowadzić, poświęcił szczęście częstszego widywania ciebie?

— Ale trzeba mieć jakąś odwagę cywilną.

— Poco?

— Widzę, że nie rozumiesz tego — ucięła z pogardą.

Wzruszył ramionami. Rzeczywiście nie rozumiał, dlaczego odwaga miała polegać na staczaniu bezsensownych i niepotrzebnych sprzeczek i dlaczego starając się o rękę Janki miał koniecznie zrażać sobie jej rodzinę. Zresztą w głębi duszy uważał, że jego narzeczona bierze się do nieswoich rzeczy, że to on właśnie powinien być opiekunem i obrońcą honoru ich obojga.

Mimo podobnych nieporozumień doczekali jako para narzeczonych chwili odzyskania niepodległości.

ŁÓDŹ PROMIENIUJE... CZYNAMI I LUDŹMI

Jan Wojtyński

Mówiąc o Łodzi jako „o mieście pracy", o ośrodku najbardziej w Polsce żywego tempa rozwojowego (obok Gdyni i C.O.P.) —nie należy zapominać i o tym, że ta Łódź promieniuje nie tylko siłą miliardów iskier, bijących z tysięcy warsztatów mechanicznych, ale i siłą wielu tęgich mózgów, jakie dała dawniej walkom o wolność Ojczyzny, a dziś budownictwu niepodległej już Polski.

Jeszcze w burzliwym okresie rozbiorów w latach 1768—1772 ziemie łódzkie poszczycić się mogły dzielnymi czynami regimentarza Zaremby Szaniawskiego, Szczawińskiego, regimentarza Cieleckiego, a przecież i Stanisław Małachowski z ostatniego sejmu był starostą z okolic bezpośrednich Łodzi. Znane są też dzieje z tego czasu wspaniałej konfederacji wieluńsko-łęczyckiej (opisał je prof. Władysław Konopczyński).

Łódź była w owym okresie osiedlem rolniczym bardzo podupadłym. Pewna poprawa datować się zaczyna dopiero od roku 1820. Mało kto wiedział wówczas o Łodzi. Kilku powstańców jednak wysłała już licząca wówczas parędziesiąt tysięcy mieszkańców do insurekcji listopadowej, ale już około 800 zuchów poszło do powstania styczniowego. Partia łodzian rozegrała dwie większe potyczki z Moskalami pod Dobrą i Sędziejowicami.

Po powstaniu dała Łódź pierwsze ofiary emigracji politycznej, szereg przywódców powstańczych, jak dr. Dworzanek, ks. Czajkowski, ks. Jakubowski, Oksiński, zmuszony był emigrować; wielu obywateli jak: Lakiernik, Sudra, Lipiński Moskale zesłali. Jak na miasto o nikłej tradycji historycznej były to wypadki, które kierowały uwagę kraju na nasze ziemie.

Wkrótce zaszły inne wypadki, które wstrząsnęły krajem. Było to sprowadzenie pierwszej nowoczesnej maszyny przędzalniczej do Polski, a następnie bunt robotników przeciwko tej maszynie, zainstalowanej właśnie w gmachu przędzalni na Wodnym Rynku, który stanowi jeden z najstarszych budynków fabrycznych w naszym mieście.

Bunt robotników przeciw mechanizacji w przemyśle łódzkim wywołał żywe echo w całej Polsce. Trwał w Łodzi od jesieni 1860 roku do lata 1861 r., a wkrótce po stłumieniu tego swoistego odruchu przeciw mechanizacji, usprawniającej produkcję, następuje rozkwit przemysłu, niesłychanie szybki i rosnoszący imię Łodzi coraz bardziej po całej Polsce.

Szybki rozwój Łodzi w okresie popowstaniowym, osiągnięcie własnych połączeń kolejowych w 1866 roku, rozrost przemysłu łódzkiego, wszystko to sprzyja znakomicie popularności naszego miasta i jego interesów na szerokim świecie, a przede wszystkim na dalekich przestrzeniach Rosji, gdzie propaganda Łodzi i jej przemysłu staje się szybko bardzo silna.

Później na przestrzeni lat 1860—1905 Łódź wsławiła się w Polsce wielkim udziałem w ruchu rewolucyjnym pierwszego „Proletariatu", w szeregach którego pozostawał szereg łodzian i zgierzan z Pietrusińskim, szewcem na czele. Szewc zgierski zapoczątkował piękną galerię najwaleczniejszych rewolucjonistów łódzkich. Zginął na stokach Cytadeli Warszawskiej w 1883 roku.

Przychodzi rok 1891—1892. Znów bunty. Na czele ruchu robotniczego stają najwybitniejsi przywódcy rewolucji: Działają tu: Stanisław Grabski, Julian Baltazar Marchlewski (dziś wódz komunistów polskich w Rosji), Feliks Perl, Humnicki, późniejszy prezydent Rzeczypospolitej Stan. Wojciechowski i inni.

Znów Łódź jest sławna z pierwszego w Kongresówce pod rządami moskiewskimi strajku robotniczego, z wielu wystąpień przeciw władzy carskiej w imię wolności Polski. Po represjach carskiego reżymu do 1899 roku jest wprawdzie cicho, ale już rok 1899 wynosi znów Łódź na czoło prac niepodległościowych po przybyciu do naszego miasta Józefa Piłsudskiego.

W roku 1905 Łódź jest pierwszym ośrodkiem w zaborze rosyjskim, gdzie Moskale wprowadzają stan wojenny.

Maj 1906 roku rozsławia imię Łodzi w związku z wyborami do dumy rosyjskiej. Nigdzie wybory te nie dają tyle emocji, ile właśnie w Łodzi: cała Polska przygląda się procesom tu zachodzącym. Takich wyborów do carskiej dumy Łódź przeżywa cztery: w 1906 roku, dwa razy w 1907 (luty i listopad) i w 1912 r.

A na jesieni 1914 roku wojna europejska rozsławiła znów imię Łodzi. W dniu 18 listopada rozgorzała na przedpolach naszych jedna z największych rozgrywek wielkiej wojny, a bezwzględnie największa na frontach wschodnich, słynna bitwa łódzka. W kilka lat później o tej bitwie ukazało się 17 publikacyj batalistycznych w językach rosyjskim, niemieckim, francuskim, angielskim i japońskim.

W roku 1916 znów „sława". Oto przyszły bataliony przymusowej pracy dla okupantów niemieckich. Kilka tysięcy robotników pognali Niemcy w nieludzki sposób na przymusowe roboty do budowy szos strategicznych itp. Wybuchło powszechne oburzenie na to nieludzkie pogwałcenie wszelkich traktatów i umów międzynarodowych i na ten brutalny gest wobec ludności ze strony okupanta.

Przychodzi rok 1918. Łódź idzie w wyścigu walki o Polskę w pierwszym szeregu.

Łodzianie są w pierwszych szeregach Legionów, a w latach 1918-1919 łódzki batalion harcerski jest pierwszym oddziałem wojskowym w Polsce, który pełni funkcję oddziału przybocznego przy Naczelniku Państwa Józefie Piłsudskim.

W historii jednego z pułków łódzkich czytamy:

„Zimę 1919/1920 roku pułk spędził w rejonie Wilna, gdzie, pełniąc służbę graniczną na linii demarkacyjnej polsko-litewskiej, oraz prowadząc drobne utarczki patrolowe z Litwinami, jednocześnie szkolił się, aby odpowiednio przygotować się do czynnego i chlubnego udziału w wojnie o niepodległość Polski w lecie 1920 roku"...



Miejskie Muzeum Historii i Sztuki im. J. i K. Bartoszewiczów w Łodzi

Z GALERII SZTUKI MIEJSKIEGO MUZEUM im. BARTOSZEWICZÓW W ŁODZI



Leon Chwistek — Portret



Albert Gleizes — Kompozycja

Zaznaczyć należy, że bezpośrednim dowódcą sił polskich na północno-wschodnim froncie był właśnie nikt inny tylko Naczelny Wódz Marszałek Śmigły-Rydz, któremu bezpośrednio służyły nasze dzielne „dzieci Łodzi“, zaklęte w liche mundury, ale też i w wielkie posłannictwo dziejowe.

Tyle czynów patriotycznych wydobyła z siebie Łódź. Ale wyszedł też stąd cały szereg wybitnych ludzi, który rozsypał się po Polsce, związał z innymi miastami i wrósł w inny grunt.

Łódź była miastem wybitnie imigracyjnym: wchłaniała rocznie jako kolos przemysłowy setki nowych imigrantów z najbliższej i dalszej okolicy: typ emigranta stworzyły dopiero okresy pierwszych poważniejszych kryzysów gospodarczych, zwłaszcza silniejsza staje się emigracja łodzian głównie na wschód od roku 1880. Wielu z naszych obywateli zawiedzionych w swych nadziejach nawet na łódzkiej ziemi obiecanej — ląduje na szerokim świecie wcale nie najgorzej. Przed wojną europejską widzieliśmy wielu bogaczy — łodzian na Syberze, w Mandżurii, oraz w innych krajach Dalekiego Wschodu.

Rewolucja 1905—8 roku stworzyła przymusową emigrację polityczną kierowaną m. in. szerokim łożyskiem do Stanów Zjednoczonych i do Brazylii. Łodzianie dotarli wszędzie. Według zebranych na prędce prowizorycznych obliczeń w Chicago zamieszkuje ich ponad 2 tysiące, w Nowym Yorku 3 tysiące; mamy też łodzian w Meksyku, Brazylii, Argentynie, w Mandżuko (w Charbinie rodziny łódzkie Rydlewskich, Zaków i Szałkiewiczów). W Chicago łodzianin Jan Adamkiewicz posiada wielkie znaczenie, jako jeden z najtęższych do niedawna samorządowców i działaczy gospodarczych chicagowskich, w Nowym Yorku łodzianin Łabędzki prowadzi jedną z największych piekarń mechanicznych. Nie zapomniał jednak o swym pochodzeniu i nadał swym olbrzymim zakładom nazwę „White Aegle“ — „Pod Białym Orłem“.

Nawet cudzoziemska Legia w Afryce wchłania coraz częściej liczne dziesiątki naszych spółmieszkańców. Istnieje w Łodzi liczna oddzielna grupa kombatancka byłych żołnierzy Legii Cudzoziemskiej Francuskiej, grupująca tych właśnie żołnierzy łodzian, którzy po tułaczce w surowej armii obcej powrócili na łono rodzinnego miasta.

W okresie od 1920 roku Łódź wydała szereg wybitnych mężów, zajmujących dziś w życiu Polski poważne stanowiska. Z Łodzią związani byli przez długie lata bracia Roman i Stefan Starzyńscy, dyrektor gen. Polskiego Radia i drugi prezydent m. stoł. Warszawy, wiceminister spraw wojsk. Głuchowski, gen. Skwarczyński, dalej gen. Sawicki, minister Poniatowski, szef pierwszej służby zdrowia pułk. Sokolewicz, gen. sekretarz Polskiego Radia pułk. Zygmunt Karaffa Kreuterkraft, pułk. Cieślak, wojewodowie Kamieński i Darowski.

Z Łodzi wyszedł szereg wyższych dygnitarzy w Państwie jak minister poczt i tel. inżynier Emil Kaliński, ppłk. dypl. Pęczkowski, słynny już dziś historyk i badacz mjr. dr. Wacław Lipiński; łodzianami są pionierzy ubezpieczeń społecznych w Polsce dr. Sierbatowski i Ligocki, wreszcie pionierzy ubezpieczeń wzajemnych bracia Strzeleccy. A inni? Łodzianin Leopold Skulski odgrywał wielką rolę w elektryfikacji kraju i jest twórcą centrum politycznego w Polsce. Z zakresu służby zdrowia dr. Krauze z Inst. Badania Środków Żywności, dr. Treukuner, dr. Sterling, dr. Kaufman, dr. Kramsz zdobywają sobie sławę poza Polską.

W służbie administracyjnej Polski Łódź daje szereg tęgich sił: inspektorów policji — Kozielewskiego, Żółtaszka, Izydorczyka; wyższych urzędników administracji — mjr. Wyszyńskiego, mjr. Kalusińskiego, inż. Kucharskiego, W. Lutomskiego, M. Syskę i innych.

W okresie od 1919 roku do 1937 roku 19 łodzian w Państwie Polskim zajmowało stanowiska wojewodów lub wicewojewodów, 27 — stanowiska wyższych dowódców wojskowych, 134 — pionierskie pozycje w różnych gałęziach, jak zdrowie, przemysł, handel itp.

W okresie tym 174 łodzian napisało względnie wydało własne publikacje naukowe lub literackie o dużej wartości. (Udział Łodzi w tworzeniu nauki i sztuki stanowi już osobny temat do rozważań).

Z powyższego zestawienia dat, faktów i nazwisk wypływa wymowny wniosek, że Łódź i łodzianie w wyścigu pracy w Ojczyźnie nie pozostają na bocznicy, lecz zajmują miejsce w pierwszych szeregach.

„KAMIENICA WIELKIEGO MIASTA“ — PAWLAKA

Wacław Rogowicz

„Kamienica Wielkiego Miasta“, powieść Władysława Pawlaka, nagrodzona na konkursie „Ilustrowanego Kuriera Codziennego“, przenosi czytelnika w świat egzotyczny dla tych, którzy z nim się bezpośrednio nie zetknęli: świat robotników fabrycznych wielkiego ośrodka przemysłowego. Autor, malując życie w kamienicy zamieszkałej przez proletariat łódzki, znalazł w nim dość tworzywa artystycznego, by nie naginać go do jakiejś tezy społeczno-ekonomicznej; nie szukajmy też tutaj żadnych wyraźnych akcentów walki klasowej. Pawlak nie odtwarza życia pewnej klasy, lecz pewnego środowiska, i to jest wielki plus jego książki. Dzięki bowiem takiej postawie, ujrzał w tym życiu pewną zamkniętą w sobie całość, w gruncie rzeczy różniącą się, w swych typowych ludzkich kolizjach od jakiegokolwiek innego środowiska, tylko zewnętrznym wyrazem tych kolizyj, uwarunkowanym cywilizacyjnymi formami bytu. Przy zmianie tych norm na wyższe, złagodniały by tylko przejawy ludzkich podstawowych namiętności — istota ich pozostała by ta sama. Zarówno w robotniku, jak w fabrykancie, dla pisarza interesujący jest przede wszystkim nagi człowiek. Im mniej na nim pokrowców obłudy — tym gra namiętności jest żywsza i prawdziwsza. Ludzie Pawlaka, żyjący w ciężkich warunkach materialnych, mają na sobie ledwie cieniutką osłonę hipokryzji (niezbędną w każdym gromadzkim obcowaniu); stąd te robotnicze rodziny Kurpików, Kamińskich czy Motyłów (jedyna żydowska rodzina w owej kamienicy) i innych w ich codziennym życiu mógł nam autor ukazać w świetle szczerości i bezpośredniości, jeśli nie myśli to czynów i odruchów psychicznych. Jednostki o wyższej materialnej i umysłowej kulturze w obcowaniu gromadzkim mają to do siebie, że łatwiej zatracają swą indywidualność w szablonach współżycia i fałszują nie tylko swe czyny, lecz nawet odruchy psychiczne (tresura opanowania się). Pojedyńczo mogą być nawet czarujące. Pokazane w gromadzie są nudne.

Z tego względu, gdy autor za bohatera bierze sobie zbiorowość — jak to uczynił Pawlak — panorama życia jego zbiorowości (robotniczej) jest stanowczo ciekawsza i prawdziwsza niż była by panorama życia zbiorowości burżuazyjnej, choć w jego powieści nie widzimy żadnych szczególnie interesujących postaci.

Niech to autorowi „Kamienicy Wielkiego Miasta“ zastąpi zdawkowe pochwały o jego książce.

W powieści pisanej (w rozmowach) jędrną gwarą powinien autor unikać natrętnych gotowych frazesów książkowych, jak np. na str. 343: „Na wieść o śmierci Mani, trząsł się cały, nie mogąc się na nogach utrzymać i „w jednej chwili lata jego podwoiły się“. To się nazywa w gwarze literackiej: klisza, sztampa. To jest zgrzyt. To psuje obraz.

I jeszcze jedna rada, Kolego Pawlaku. Żeby realistycznie opisać agonię i śmierć — trzeba albo być tego czujnym świadkiem, albo genialnie to wyczuć. Otóż agonia i śmierć Mani Kamińskiej została sknocona w różnych szczegółach, bezwiednie sfałszowana w celach nastrojowo-lirycznych — i to właśnie w zakończeniu książki.

Mówię to Panu otwarcie dlatego, że ma Pan talent.

JAK ZOSTAŁEM POWIEŚCIOPISARZEM?

Władysław Pawlak

Jestem pisarzem. Napisałem powieść, która została nagrodzona i dwa razy już drukowana. Raz w odcinkach, w dzienniku, drugi raz w wydaniu książkowym.

Dziś pierwszy krok w dziedzinie powieściopisarstwa mam poza sobą. A jak do tego doszedłem? Kiedy powstało u mnie postanowienie pisania?

O tym by pisać, by zostać pisarzem, postanowiłem, nie wiem, ale zdaje mi się, że już wówczas, gdy zacząłem pojmować swe myśli, gdy do świadomości mej wniknęło pojęcie o istnieniu tej dziedziny sztuki.

Chęć pisania powstała we mnie nie nagle, nie spadła na mnie w postaci jakichś bodźców.

Nie, ja, jak tylko pomięcią sięgam, zawsze myślałem o tym, że będę kiedyś pisał książki. Nawet określiłem sobie czas, kiedy rozpocznę pisać. Miałem rozpocząć pisanie wtedy, gdy zdobędę wykształcenie. I zdawało mi się, że nie przyjdzie ono trudno, miałem chęci i zdolności do nauki, więc mając lat dziewięć, czy jedenaście, marzyłem o tym, że ukończę gimnazjum, uzyskam wykształcenie w zakresie szkoły średniej przy pomocy rodziców, a później wyższe własnym wysiłkiem.

Ale były to tylko marzenia dziecka robotniczego, utopia, która w miarę gdy przybywało mi lat, uciekała przede mną coraz dalej i dalej.

Udało mi się ukończyć zaledwie cztery oddziały szkoły powszechnej i wprost ze szkoły musiałem iść pracować, ale było to w ostatnim roku wojny światowej.

Pracy w Łodzi wtedy było mniej aniżeli teraz, dorośli musieli szukać jej poza naszym miastem, a cóż ja, chłopak wątły, miałem tutaj robić. W Łodzi nie było dla mnie pracy i szukałem jej gdzie indziej, na wsi przy pasaniu krów.

Tam, pilnując bydła, by nie weszło w szkodę, nie przestałem marzyć o wykształceniu i pisaniu książek. Tam, pasąc krowy, podsłuchałem, mimo woli, rozmowę chłopów... o książkach. O tym, że o wszystkich miastach piszą książki, o Warszawie, Krakowie, a o Łodzi nie piszą. I zadali sobie pytanie, czemu?... I wywnioskowali, że Łódź jest za bliskim miastem, by o nim pisać... Za blisk m ich wioski...

Ale ja doszedłem do innego wniosku i postanowiłem, że jeżeli nikt nie pisze o Łodzi, napiszę ja, gdy zdobędę potrzebną ku temu wiedzę.

I chciałbym jak najprędzej to urzeczywistnić, wyrywałem się też do książek, które czytałem namiętnie; były one dla mnie nałogiem jak tytoń dla palacza, albo alkohol dla pijaka.

Ja nie czytałem książek, ja je pochłaniałem dziesiątkami, setkami, tysiącami. W bibliotece T-wa „Wiedza" brakło dla mnie książek, przeczytałem wszystkie. Gdy noc zapadła i musiałem czytania zaprzestać, bo na naftę nie było pieniędzy, byłem jak odurzony, zamroczony na umyśle i gdy tylko świt ubielił okna, brałem książkę do ręki i czytałem dalej, a po południu leciałem do biblioteki, by otrzymać nową książkę i żyć w świecie ułudy, urojeń.

Od nadmiernego czytania zachorowałem na oczy i cierpienie to wytrąciło mi książkę z ręki, nie mogłem już chłonąć ich treści tak, jak kiedyś, bywały nawet dni, że nie mogłem wcale czytać i wtedy żyłem pół życiem, jak pod narkozą. To był dla mnie najdotkliwszy cios w życiu. Za nic miałem to, że chodziłem codziennie głodny spać, że chodziłem w ubraniu starym i zniszczonym, życie moje rozpoczynało się i kończyło na książce. Nie mogłem czytać będąc półślepcem i nie mogłem się uczyć z powodu braku pieniędzy na naukę, która skróciła by mi czas, przybliżyła chwilę, w której rozpocząłbym pisanie książek.

A wiedziałem już wtedy, gdy pasałem krowy, o kim napiszę — o Łodzi i robotnikach; ale niestety ten czas, kiedy miałem rozpocząć pisanie, uciekał przede mną.

O tym, by pójść do szkoły średniej, nie było mowy. Była wojna, a z nią nędza, nie o nauce było wówczas myśleć, a o tym, by było co w garnek włożyć i do ust.

Lata mijały, wojna się skończyła i wyrosłem z lat, w których mógłbym normalnie chodzić do szkoły i uczyć się.. Trzeba było pomyśleć o jakimś zajęciu, zawodzie, który mógł by mi dać sposób do życia.

Ale czego miałem się jąć, uczyć, kiedy ja od chwili, gdy poznałem pierwszą literę, obrałem sobie zawód pisarza.

Zacząłem jednak pracować w Łodzi, zostałem gońcem i wtedy postanowiłem zdobywać wykształcenie. Zapisałem się do drugiej klasy na kursach gimnazjalnych i nie mogąc kształcić się w normalnej szkole, uczyłem się wieczorami i nocą, pracując we dnie.

Rozpocząłem przechodzić z klasy do klasy: trzeciej, czwartej, piątej. Zostałem urzędnikiem i zdawało mi się, że jestem już bliski celu, że jeszcze rok, jeszcze dwa i rozpocznę pisać powieść o Łodzi i o robotnikach, o której i których mało, prawie że nikt nie pisał.

Straciłem posadę, ale nauki nie przerwałem i czego od tej pory nie robiłem.

Byłem sprzedawcą gazet i dyrektorem kinoteatru. W ślusarni i przy murarzach nająłem się za robotnika, pracowałem wreszcie jako agent, aż zdobyłem wykształcenie w zakresie ośmiu klas.

Chciałem pójść na wyższą uczelnię, ale żyć było coraz trudniej. Coraz częściej trzeba było być głodnym i obdartym. Nie miałem pracy i dostać jej nie mogłem, trzeba się było jąć, za co się dało, byle... wyżyć, a może przetrwać... Mijały lata, co jedno to cięższe...

Rozpocząłem pracować jako chałupnik. Na szewskim stołku zarabiałem na chleb i wówczas nie mając widoków na dalsze kształcenie się rozpocząłem pisać swą pierwszą powieść o Łodzi i robotnikach; zacząłem ucieleśniać moje marzenia.

W dzień robiłem buty, a nocami, o ile tylko starczyło na naftę, pisałem powieść.

Mijał tydzień za tygodniem, rósł stos zapisywanych zeszytów, powieść stawała się coraz realniejszą, aż i całą napisałem. I teraz rozpoczęła się wędrówka po wydawnictwach, powieść nigdzie się nie zatrzymała, wracała do mnie z mniej lub więcej zdawkowymi słowami: kryzys, książki nikt nie kupuje, powieść pana jest wartościowa — ale niestety...

Mijały tygodnie i wydrukowanie powieści stawało się problematyczne.

„Ilustrowany Kurier Codzienny", wychodzący w Krakowie, ogłosił konkurs powieściowy, zdecydowałem się tam przesłać moją powieść z niejaką nadzieją.

Ale gdy dowiedziałem się o przesłaniu na konkurs ponad pięćset powieści, zwątpiłem, bym został bodaj wyróżniony.

Przystąpiłem do pisania drugiej powieści i pracowałem w trudzie i znoju od szóstej rano do dziesiątej wiecór, bez przerwy, bez wytchnienia, jak każdy chałupnik, za jeden złoty pięćdziesiat groszy dziennie. Często zdarzało się siedzieć na stołku 36 do 40 godzin bez przerwy, bez zmrużenia powiek.

Minął rok i drugi od czasu wysłania rękopisu na konkurs; pisałem drugą poweść, nie śpiesząc się i nie przestawałem myśleć o moim zawodzie, który sobie wybrałem w dzieciństwie jeszcze i o którym nie przestawałem myśleć nigdy, jak i o pisaniu książek; wierzyłem, że pomimo wszystko nadejdzie ten dzień, że wrócę do swego zawodu, do siebie.

Była wiosna, maj piękny, upalny niemal.

W brudnej izbie stanowiącej warsztat szewski, sam brudny, cuchnący potem, pracowałem szesnastą już godzinę, dochodziła dziesiąta wieczór, sezon był w pełni, pracowało się intensywnie; wtem wszedł mój brat, chciał bym wyszedł z warsztatu. Nie chciałem wyjść, bo to już niedługo dozorcy bramy będą zamykali i trzeba będzie robotę zło... i wracać do domu, a żal tych kilka sztychów szycia stracić, tych kilkunastu uderzeń młotkiem.

Brat napierał się, bym koniecnie wyszedł. Nie chciałem, lecz w końcu uległem i wprost ze stołka, w spodniach tylko i koszuli wyszedłem z nim na ulicę. Tam dał mi do ręki jakiś papier do odczytania. Podstąpiłem pod latarnię gazową, by móc przeczytać i ręce mi zadrżały, w rękach trzymałem telegram, z którego czytałem: Jury Konkursu nagrodziło „Kamienicę wielkiego miasta".

„Kamienicę wielkiego miasta", a więc moją powieść!

Wróciłem na stołek, by dokończyć przerwaną robotę i po jej zakończeniu wracałem do domu.

A więc po tylu latach borykania się spełniło się moje marzenie chłopięce, powieść moja zostanie wydrukowana, a ja wrócę do zawodu dawno wybranego, do siebie, do swojej pracy, do mojego świata.

Dziś, kończąc drugą powieść, mam już znośniejsze warunki, nie muszę ślęczeć nocami, chociaż daleki jestem jeszcze od normalnych. Od takich, jakie sobie wyobrażamy przy pracy powieściopisarza.

Jeżeli ktoś zastanowi się nad pracą i warunkami, w jakich powieściopisarz pracuje, to wyobraża sobie, że posiada on biurko, gabinet przytulny, w którym panuje cisza i spokój jak w świątyni.

Ja, pisząc obecnie, nie mam ciszy i spokoju, w moim mieszkaniu nie może być ciszy; zawsze ktoś rozmawia, dziecko płacze. W korytarzu i na podwórku ciągły ruch, radio gra.

I jeżeli dorośli mogą mnie wyrozumieć, to dziecku nie przetłumaczę i nie spełni mej prośby, bo rzecz prosta, nie mogę wymagać, by mnie wyrozumiało. A i dorośli nie mogą się wyrzec dla mnie koniecznej swobody.

Przy stole, przy którym piszę, mam trochę miejsca wydzielonego i zawsze na nim ktoś coś robi, dziecko się bawi. I nie mogę wymagać, by w mieszkaniu jednoizbowym było inaczej.

Obecnie o tyle jestem zadowolony, że trud mojego życia nie poszedł na marne, że zostałem powieściopisarzem i marzenia dziecka robotniczego ziściły się.

ODKRYWANIE ŁODZI

Grzegorz Timofiejew

W ostatnim czasie na łamach najrozmaitszych pism spotykamy coraz częściej wypowiedzi o Łodzi. Diapazon głosów znaczny: od organów stołecznych i krakowskich do miesięcznika włoskiego... Oczy na Łódź!

Niewątpliwie, zainteresowanie to idzie w parze z aktywizacją naszego życia gospodarczego; po drugie, na tło fabryk i krajobrazów pracy jak cień olbrzyma kładzie się projekcja nowego człowieka w Polsce. Jakim chcemy go widzieć? Napewno pełnym przedsiębiorczości, umiejętności konstrukcji życia, energii i zapału. Spojrzenie tropiciela tych wartości biegnie słusznie w trzech kierunkach: Gdynia, C. O. P. i Łódź.

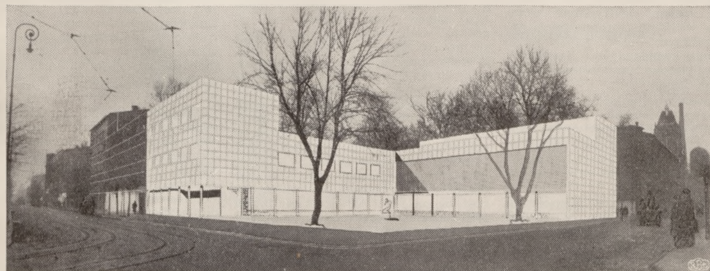
Jeśli pierwsze dwa ośrodki wzbudzają wokół siebie zainteresowanie, będące poniekąd procentem od zamysłu, satysfakcją dokonania, to Łódź zdaje się pociągać ku sobie uwagę z innych powodów.

Jest dziełem raczej przypadku, zapewne; dziełem nawet absurdalnym, gdy się powstaniu miasta przyjrzeć krytycznie. Jałowy i szpetny obszar ziemi — zdala od gardła rzek, zdala od trzewi węglokopalni — ściągnął ku sobie kilkaset tysięcy ludzi, którzy okryli go ciałem, użyźnili krwią i potem. Ze współżycia tych ludzi, wytrzebionych z okolicznych wsi, przywabionych z Niemiec, Czech i kresów litwackich, zwołanych wreszcie okrzykami syren ze wszystkich dróg świata — poczyna się udręka i wielkość Łodzi. Golgotą ludu polskiego jest to miasto — wołał w najboleśniejszej żarliwej pasji Żeromski. „Pracujemy. Przez Bóg żywy! krwawo pracujemy. Czarne mamy twarze i czarne ręce, krwawą plwocinę i ciemne widmo w duszy". Zdawałoby się, że ta hucząca ogniem, maszynami i różnojęzyczną mową wieża Babel zawali się, runie w przepaść, jeśli nie z wyroku życia to od pioruna przekleństw, jakie ciskali najwybitniejsi. Złe miasto! Inne — rozrastało się, zagospodarowywało i bogaciło w atmosferze życzliwej uwagi, miłości i pietyzmu; Łódź miała przeciwko sobie niechętną opinię całej Polski. Więc najpierw: że miasto wyrosło sztucznie, jako języczek u kupieckiej wagi rosyjskiej, że rozbudowało się nad rodzime potrzeby... Wreszcie: co z tym robić, kula u nogi rolniczego kraju... No i jeszcze: że wobec budowy C. O. P. Łódź musi stracić na znaczeniu albo w drodze naturalnej konkurencji albo na mocy konsekwentnie realizowanej decyzji.

Łódź jednak przetrzymała różnych znachorów, radzących nad łożem jej, niewątpliwej zresztą, boleści, odkupiła grzech swego powstania, odrobiła straty i wysunęła się na czoło naszego życia gospodarczego. Jeśli tego potrafiła dokonać, to z jakiejże mocy? Nie wytyczała na planie swoich dróg jak Gdynia i C. O. P., nie utwierdzała najpierw swego życia w mózgach i celowym planowaniu — powstała jako biblijny świat z chaosu. A przecież przemieniła się w ład, przeobraziła w zorganizowane środowisko pracy, mimo szalonych różnic narodowościowych, klasowych i gospodarczych funkcjonujące normalnie i pozytywnie bez wstrząsów, bez zahamowań i zajść. Jest tu 31,7% Żydów, jest tu wreszcie z górą 100 tysięcy ludzi nie mających środków do życia, a przecież kamień łódzki drzemie spokojnie w bruku.

Myślę, że jeśli ten największy cud, jakim jest przezwyciężenie upornych warunków życia, wreszcie zharmonizowanie kontrastów i różnic, mógł się był dokonać, to stało się to za sprawą samego człowieka. To on natężył w sobie tak zdolność tworzenia, hart i zaciekłość pracy, że bez pomocy z zewnątrz a raczej przeciwnie przy wtórze ogólnej niechęci dał podwaliny nowym wartościom i jutru, świtającemu w imię tych zdobyczy.

Dopiero uwzględniając wszystkie te okoliczności (a któż robi rachunek lekkomyślnie), zrozumiemy, że w szeregu trzech ośrodków przyszłości — Gdynia C. O. P. i Łódź — nasze środowisko jest



Projekt gmachu Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Marsz. J. Piłsudskiego w Łodzi

pozycją największego, bo najbardziej ludzkiego mozołu. Zrozumiemy też, że skoro dał on wyniki twórcze, zawdzięczać to trzeba wartości nowego człowieka, jaki tu w tyglu walk i sprzeczności powstał.

W Gdyni czy C. O. P. model przyszłego obywatela dopiero się kształtuje, w Łodzi nowy człowiek zdał już swój egzamin, jest doświadczany przez życie i na odwrót życie to sam urabia.

Tu zamyka się krąg pierwszych myśli: w poszukiwaniu wartości jutra, przeglądając naszą mapę gospodarczą, badawcze spojrzenie wbijamy w trzy najbardziej potencjonalne środowiska. Wynik? Teraz już nie tylko dostrzegamy Łódź: pojmujemy i doceniamy jej znaczenie dla Polski. Dzisiaj już nikt nie chce przerabiać naszych fabryk bawełnianych na zakłady przetwarzania lnu, hamować wzrostu włókienniczej produkcji lub w ogóle degradować Łodzi z racji istnienia C. O. P. Łódź jest Łodzią!

Trafiło wreszcie społeczeństwo w sedno najgłębsze: odkryło wartość człowieka w Łodzi. Odczuło jego inność, lecz jaką? Znowuż — oczy na Łódź! Ale gdy zrozumienie gospodarczych wartości naszego miasta jest dzisiaj rzeczą nie podlegającą już dyskusji, to badanie psychiki łodzianina zdaje się być sprawą dopiero napoczętą. Nowy człowiek! Słusznie widzi się tu klucz do rozumienia historii łódzkiego wysiłku w przeszłości i do otworzenia oczom wielu jeszcze ciemnych dzisiaj zjawisk. Czyli, krótko mówiąc, Łódź zjawia się dzisiaj w polu zainteresowania i narzuca uwadze całej prawie Polski jako problem psycho-socjalny.

Lecz mimo znacznych już dzisiaj usiłowań w tym kierunku, mimo prób naświetlań, analizy i dociekań, nie wydaje się, abyśmy „problem Łodzi" rozgryźli do cna. Złe miasto? Złota żyła bawełny? Środowisko proletariatu? Miasto zapóźnione w rozwoju na skutek swej młodszości? Stuletni „polski Manchester"? Kosmopolityczne skupisko? Miasto pracy? Gigantyczny obóz na szlakach migracyjnych? — Już samo tylko wyliczenie tak różnych określeń mówi, że całkowitej racji nie ma ani tu, ani tam, że może gdzieś i tkwi jakiś ułamek słuszności, ale do wyjaśniającej wszystko prawdy jeszcześmy nie dotarli. Prażona upałem elektrycznych słońc, smagana wichrami transmisyjnych pasów fabrycznych — Łódź wznosi się po dawnemu kamienna i bezwładna, a przecież głęboko żywa, intrygująca zagadką jak Sfinks.

To pewne, złym miastem — nie jest. Ileż bo razy — w walce i w dniu codziennym składała dowody swego przywiązania do kraju i wielkich ludzi, daniny pracy i krwi, wreszcie entuzjastyczną ocenę każdej wartościowej inicjatywy.

Nie jest też „złotą żyłą", miejscem na wywczasy ludzi bogatych. W r. 1936 Wydział Opieki Społecznej Zarządu Miejskiego wydał 75036 zaświadczeń o stanie ubóstwa. Statystyka ta bije w oczy, mózg i serce; unicestwia legendę „polskiego Manchesteru", Eldorada złotych interesów, krainy bajki i fortuny. W naszych wyobrażeniach o Łodzi jak w kiepskich dekoracjach robią się dziury, poprzez które dają się widzieć mizerne kulisy. Łódź szerokiego ogółu, Łódź spod boku, naszego sąsiada i znajomego — ta Łódź jest biedna. Co dziewiąty łodzianin przychodzi do gospodarzy miasta po pomoc, po dokument ubóstwa, wyciąga rękę i czeka.

Niechętni widokom łachmanów przerzucamy się w ostateczność: miasto pracy! Bez wątpienia — każdy sygnał, każde drgnienie maszyny brzmi tu niby głos ostateczny, nadający wszystkiemu ruch, wprawiający ludzi w pracę i posłuszeństwo. Skupisko wieloręcznego wysiłku pracuje od rana do nocy. Lecz nie róbmy z tego zaraz landszaftu. Dzisiaj to stłoczenie fabryk oblegają tłumy ludzi bez pracy, masy zbiedzone, zarobkujące niedostatecznie, nieporadne życiowo. Jest to pozycja wybitnie ujemna w ogólnym rachunku naszego życia, nieprodyktywna, a mimo to ważna i groźna, dudniąca po bruku odgłosem wielotysięcznych nóg.

Więc jakaż jest Łódź? Kosmopolityczna? O, zapewne nie! Tu w 1905 roku grały warsztaty śpiew o Polsce. Pomnik poległych bojowców, krwawiący czerwienią dookolnych kwiatów, mówi, że socjalizm był tu ruchem polskim, tajna drukarnia Piłsudskiego dowodzi, że tę polskość można było oderwać od przyziemnych fabryk i rzucić na wyżynę spraw duchowych, do walki o wyzwolenie narodu czyli tego, co jest w ludziach najlepszego.

Gdybyśmy jednak na tym stanęli i sądząc, że podkreślone tu fakty dały robotnikowi łódzkiemu chrzest całkowity, że masy w Łodzi odbyły szkołę swojej dojrzałości, chcieli wierzyć w istnienie jednolitej psychicznie klasy robotniczej, popełnilibyśmy błąd jednostronności. Proletariat łódzki nie jest „proletariacki" w znaczeniu zachodnim; stanowi on raczej sfabryczałe chłopstwo, wieś rzuconą na żer wielkomiejskiego malocha. Świat ten tworzy swoistą warstwę — i odrębne formy bycia — oderwaną od ziemi, lecz jeszcze nie przesiąkłą przez kulturę i świadomość robotniczą. Na zjawisko to zwrócił swojego czasu uwagę Reymont, potem Bartkiewicz, ale i dzisiaj nie utraciła ono swojej mocy. Jak wskazuje szereg cyfr z łódzkiego (ostatniego) rocznika statystycznego Łódź stanowi nadal poniekąd obóz koczujący, wielki szlak wędrowny. Przyjrzyjmy się faktom chociażby z r. 1935. W pierwszym kwartale przybytek naturalny ludności w Łodzi stanowi 923 ludzi, napływowy zaś 2.296. To ciągnie wieś po zarobek. Mimo częściowego bezrobocia w Łodzi i nie zawsze uregulowanych warunków pracy znajduje tu jednak jakieś zajęcie. Ale teraz rzecz ciekawa: II kwartał 1935 r. w rubryce „napływ" zdradza swój jaskrawy ubytek, tym gwałtowniejszy, im bardziej zanosi się na lato. W kwietniu ubywa 1639 ludzi, w czerwcu 2175, a w lipcu już 4595 mieszkańców opuszcza miasto. Dokąd? Na wieś, do rodziny, krewnych, na specyficzne wewnętrzne „saksy". A na jesieni znów powrót do miasta: sierpień — 44, wrzesień — 1850, listopad 3379. To zjawisko migracji ukazane w obiektywnej perspektywie statystyki, ujawniając ciągle jeszcze dużą atrakcyjność Łodzi, odsłania też rzecz ujemną. Ustawiczna „wędrówka ludów" (w latach 1916—18 przeszło 100 tysięcy ludności odpłynęło z Łodzi na wieś) uniemożliwia stabilizację psychiki na określonym poziomie w myśl wymogów robotniczo-miejskiego życia. Związek ze wsią stale się odnawia i odświeża, utrudniając krystalizację nowych wartości. Tradycja „wsiowości" nie harmonizuje z formami kultury urbanistyczno-robotniczej; masom w Łodzi brak kośca, to dopiero materiał płynny. Jaką mają świadomość? Pod tym względem rzeczywistość zgotowała wszystkim i zapewne nieraz jeszcze zgotuje wielkie niespodzianki.

Cóż stąd? Krytyczne, jakkolwiek dalekie od wyczerpania kwestii, przewertowania paru popularnych przewodników po „polskim Manchesterze" orientuje w tym, jak bardzo złożonym zjawiskiem i jak — dlatego właśnie — wartościowym jest Łódź. Problem problemów, niewyczerpany dotąd, a pobudzający!

Ostatnio do wielu uproszczeń dochodzi frazes „miasta pracy". Myślę, że zagnieżdżony w opinii kraju tyleżby szkody przyniósł co szyld „złego miasta". A bo to gdzieindziej nie pracują? Zamykać żywe jestestwo Łodzi w formule „miasta pracy" to redukować jej możliwości do materialnych tylko granic. Praca, cóż sama praca? Czyż nie pracowała Łódź przedwojenna? Dorobiła się na perkalikach milionowych sum i paru fabrykanckich obwieszczonych, jak powiada Żeromski, cycełesami ohydnej sztukaterii pałaców... Ale czy dorobiła się pięknej architektury, rozległych parków, monumentalnych ulic, wytwornych galerii obrazów, teatrów, bibliotek, wydawnictw itp. pomników twórczego ducha? Nie trzeba kuć pancerza, za którym chować się będzie tylko groszoróbstwo, gnuśność duchowa i zwykłe chamstwo. Miasto pracy? Tak. Ale i miasto związanej z tą pracą kultury.

Jeśli tyle niepotrzebnych i zgoła błędnych słów padało w pustkę, jeśli problem Łodzi dopiero oczyszczamy z chwastów fałszu i wypaczeń, jest w tym dużo naszej własnej winy. Czemuż pozwoliliśmy mówić o Łodzi przygodnym wojażerom, patrzącym z okna wagonu, czemu ceniliśmy sąd z zewnątrz, a nie próbowaliśmy, żyjąc na tej ziemi, rosnąc na odległość wyciągniętej przyjaźnie ręki — myśleć i dociekać?

Zgłębienia życia i charakteru środowiska, w jakim pracujemy, dokonać musimy bezwzględnie. Rozwiązanie problemu Łodzi to nasz najpilniejszy obowiązek. Nie twierdzimy, by zadanie było łatwe i abyśmy posiadali wytrych do wielu zamkniętych tajemnic. Chcemy dochodzić prawdy uczciwie i tylko pracą swego doświadczenia. To wolno nam, wolno też każdemu.

Jednakże rozważanie charakteru Łodzi oraz dróg jej przyszłej kultury odbywać się może jedynie w atmosferze intelektualnego zainteresowania. Dlate-

go w dążeniu do uczynienia z Łodzi przede wszystkim środowiska większej kultury powinny zespolić się wszystkie wysiłki.

Gdy z jednej strony trzeba wzmóc tętno naszego życia duchowego, dokonać intensyfikacji wewnętrznej, otrząsnąć się z apatii i bierności, zdobywając wobec wszelkich zjawisk postawę czynną, to z drugiej — musimy otworzyć nasze środowisko na szerokie wiatry z całej Polski, włączyć się do ogólnego krwiobiegu, biorąc żywy udział w wymianie ogólnopolskich wartości. Jesteśmy dopiero na dorobku kulturalnym, tym bardziej zgubnym było by zacieśniać nasze zainteresowania do granic tylko lokalnych; nic, czym żyje dzisiaj Polska i świat, nie powinno być nam obojętne. Nie przeczy to wcześniejszemu założeniu. Stojąc tu w Łodzi, umiłowaniem i troską serdeczną wrastając w czarną ziemię fabryczną, należy patrzeć jednocześnie jak najdalej.



Fragment wnętrza Tumu pod Łęczycą

CZY NAGRODA M. ŁODZI MA BYĆ LOKALNA?

Ankieta „Wymiarów"

Co roku przyznawana jest nagroda m. Łodzi za wybitne dzieła w zakresie nauki, literatury i sztuki, kolejno więc otrzymuje ją uczony, literat, artysta-malarz. Nagroda ma charakter ogólnopolski, jakkolwiek § 1 statutu zastrzega, że „w razie przyznania równych zasług lub równych wartości utworom rozmaitych osób, pierwszeństwo do nagrody przyznane będzie autorowi, którego działalność literacka lub utwór związane są ze światem spółczesnej polskiej pracy". Dotychczasowymi laureatami Łodzi są: ś. p. Aleksander Świętochowski, Julian Tuwim, Zofia Nałkowska, Aleksander Bruckner, Władysław Strzemiński, ś. p. Andrzej Strug, prof. Czesław Witoszyński, ś. p. prof. Kazimierz Twardowski oraz Tadeusz Kulisiewicz.

Ponieważ pomimo obiektywnej wartości dotychczasowej listy nagrodzonych rozlegają się głosy krytyczne, dowodzące, że przy obiorze laureatów zostają pominięte interesy Łodzi, staje się aktualny projekt, by nagroda m. Łodzi miała charakter wyłącznie lokalny i przyznawana była tylko łodzianom.

Jednakże decyzja w tej sprawie nie może być oparta na podstawie przygodnie zasłyszanych uwag, lecz musi być zgodna z istotnym sądem naszej opinii kulturalnej. Pragnąc ułatwić wypowiedzenie się w tym zakresie wszystkim zainteresowanym, Redakcja „Wymiarów" ogłasza ankietę n. t. „Czy nagroda m. Łodzi ma być lokalna?" Do zabrania głosu zaprasza się przedstawicieli Łodzi, wreszie przedstawicieli ogólno-polskiego ruchu artystycznego i kulturalnego, a więc literatów i publicystów, artystów-plastyków, pracowników nauki i działaczy oświatowo-społecznych.

Zakres ankiety obejmuje następujące pytania:

1) Czy nagroda m. Łodzi ma być lokalna czy też pozostać jak dotychczas ogólnopolska?
2) Jaki rodzaj nagrody uważać trzeba za bardziej dla Łodzi pożyteczny?
3) Co zrobić z nagrodą w wypadku zlokalizowania jej charakteru, a braku odpowiedniego kandydata miejscowego? Czy nie należy wtedy, przeznaczonych na nagrodę pieniędzy obrócić na popieranie młodego ruchu artystyczno-literackiego i naukowego w Łodzi — i czy nie należy zastrzec tego w statucie?

Odpowiedzi na ankietę będą ogłaszane w miarę ich napływania. Łamy „Wymiarów" otwarte są dla wszystkich pragnących zabrać głos w sprawie zmiany charakteru nagrody m. Łodzi.

Poniżej zamieszczamy pierwsze odpowiedzi na ankietę. Po wypowiedzeniu się opinii Łodzi oraz przedstawicieli życia ogólnopolskiego Redakcja „Wymiarów" ujawni swoje stanowisko.

EUGENIUSZ AJNENKIEL

Wypowiadam się za pozostawieniem nagrodzie jej dotychczasowego charakteru.

Oczywiście, że jako łodzianin pragnąłbym, aby przyznano ją łodzianom. Nie stoi to w sprzeczności z mą odpowiedzią na pierwsze pytanie, gdyż zrealizowanie mego pragnienia chciałbym widzieć właśnie w tym, by łodzianie całokształtem swej pracy tak artystycznej, literackiej jak i naukowej wybijali się na czoło życia kulturalnego Polski. W takim wyścigu brać nagrodę jest większą satysfakcją. Z dotychczasowych dziewięciu laureatów Łodzi, dwu z naszym miastem jest związanych. Tuwim Julian i Strzemiński Władysław.

Jeśli chodzi o trzecie pytanie, dotyczące popierania młodego ruchu artystyczno-literackiego i naukowego w Łodzi, to, moim zdaniem, znaleźć ono winno swe rozwiązanie w odpowiednich sumach, wnoszonych corocznie do budżetu Zarządu m. Łodzi. Miasto zresztą do tej pory nie uchyla się od pomocy, choć nie daje zbyt wiele.

MARIAN MINICH

Uważam, że nagroda m. Łodzi powinna być regionalna.

Każde z miast polskich, dysponujące funduszem przeznaczonym na powyższą nagrodę, udziela jej któremuś z artystów, literatów lub naukowców, rekrutującemu się z kół lokalnych. Łódź, stojąca najniżej z pomiędzy wszystkich większych miast polskich pod względem poziomu kulturalnego, uczyniła paradoksalny gest w postaci stworzenia nagrody ogólnopolskiej. Nagrody ogólnopolskie są udzielane przez Państwo.

W razie braku możności udzielenia nagrody m. Łodzi kandydatowi miejscowemu, uważałbym za stosowne użycie preliminowanej na nagrodę kwoty na popieranie lokalnego ruchu artystycznego, literackiego lub naukowego, a także miejskich instytucyj, ruch ten reprezentujących. Punkt ten należało by zastrzec w statucie.

KAZIMIERZ SOWIŃSKI

Inicjatywę zmian w statucie nagrody miasta Łodzi powitać należy z pełnym uznaniem. Jeśli przyjrzeć się liście laureatów takich miast, jak Poznań, Lwów, Kraków czy Wilno, widzimy, że nagradzani są twórcy związani z nimi czy to terenem działalności, czy też po prostu pochodzeniem. Łódź wyróżniała się dotąd szlachetną w zasadzie ambicją, aby w przyznawaniu nagrody nie powodować się „patriotyzmem lokalnym", aby i własnych twórców mierzyć miarą ich wkładu do kultury ogólnopolskiej. To zapewniło nagrodzie m. Łodzi jej wysoką rangę. Ale przeciwko rygorystycznemu przestrzeganiu tej zasady przemawiają pewne względy praktyczne: przede wszystkim tradycja nagradzania przez inne miasta twórców związanych z własnym regionem, wobec czego autorzy łódzcy nie mogą wchodzić w rachubę jako ewentualni kandydaci do nagrody miast innych. Należało by — wzorem innych miast — zrównać ich szanse w postaci przyznania im prawa pierw-

szeństwa w kandydowaniu do nagrody miasta Łodzi. Ten wzgląd w odniesieniu do Łodzi jest szczególnie ważny. Miasto nasze jest środowiskiem kulturalnym, młodym, bez tradycji, należy więc wszelkim poczynaniom twórczym zapewnić atmosferę troskliwej opieki i uznania.

Jeśliby w wypadku zregionalizowania nagrody, wypadło przyznać ją niejednemu spośród pisarzy czy artystów młodych jeśliby wypadło przełamać tradycję nagradzania autorów starszych, którzy najczynniejsze lata swej działalności mają już poza sobą, to wyszło by to tylko na dobre nie tylko tym młodym laureatom, ale i nagrodzie samej, która stała by się w ten sposób rzeczywistym czynnikiem życia kulturalnego, niejednokrotnie nawet motorem twórczości.

Najwłaściwsze wydaje mi się rozwiązanie kompromisowe: statut powinien wyraźnie zastrzegać pierwszeństwo pisarzy, czy artystów, czy ludzi nauki wreszcie, związanych z Łodzią czy to charakterem twórczości, czy terenem działalności, czy wreszcie pochodzeniem. Dopiero w braku kandydata odpowiadającego tym warunkom wybierać laureatów spośród twórców innych. Całkowite „zregionalizowanie" nagrody wydaje mi się niewłaściwe, gdyż pociągnęło by za sobą pewną jej deprecjację w opinii. Nagroda lokalna przestała by budzić szersze zainteresowanie.

W dopiero co wyrażonej opinii zawiera się już odpowiedź na trzeci punkt ankiety. Nagroda nie powinna się w żadnym razie zamieniać w subwencję dla „popierania" młodego ruchu kulturalnego. Przecież nagroda to nie tylko pewna kwota pieniędzy, jaką się obdarowuje „chudego literata", to przede wszystkim laur, którym się wieńczy zasługi dla kultury. Tego charakteru nagroda nie powinna stracić nigdy.

Inna sprawa, że młody ruch literacki i artystyczny, którego rozwój w latach ostatnich upoważnia do bardzo pięknych nadziei, powinien znaleźć u najwyższych czynników naszego miasta szerokie poparcie moralne i materialne. Na popieranie młodej twórczości powinny być przeznaczone — choćby w budżecie Wydziału Oświaty i Kultury — jakieś fundusze specjalne. Nie trwońmy na te cele sumy przeznaczonej na nagrodę. Nagroda niech pozostanie tym, czym być powinna: zaszczytnym wyróżnieniem, wyrazem uznania dla twórczej pracy.

PRZYGODA NOCNA

Mieczysław Lisiewicz

Świstun czekał aż pan zaśnie. Gdy ów zgasił światło, przyczaił się na swoim legowisku nastawiając bacznie uszu, czy nie zacznie oddychać równo i głęboko, jak to czynią zawsze ludzie śpiący. Zaraz potem wyskoczył przez okno.

Jego drogi były dalekie, a błąkał się nimi bez wyraźnego celu. Nie ruszał w noc dla owych wypraw myśliwskich, jakie często urządzają psy goniące po polach; ciągnęło go nieprzepartą siłą miłe wędrowanie przez ciemne przestrzenia leśne, wnikanie w tajemnice nieznanych szelestów, szeptów, szumów, których pełno było po krzakach. Zanurzał się z radością w rejony wielkiej ciszy, tam, gdzie po polanach milczący cień pląsa po mchu wilgotnym lub tam gdzie mdłą srebrność chłodnym żarzeniem otulają pochyłe pióropusze paproci.

Już poznawał zapachy, już nauczył się czytać nosem w alfabecie. Te słodkie lub goryczą pojone oznaczały zioła, rośliny, drzewa i krzaki, niektóre ostrzegały przed bliskością szaleju lub wilczego zioła, inne znowu zdradzały bliskość owocu: poziomki, czy jeżyny. Zapachy mdłe, lecz ledwo wyczuwalne były zapachami jaszczurek, zaskrońców, żab i wężów leśnych, zaś ostre mówiły o chrząszczach i liszkach wszelkiego rodzaju, a były między nimi straszliwe cuchy pluskwiaków lub takich owadów, co żywią się padliną i zgniłym mięsem.

Jakże często w tym tajemniczym świecie tropu stworzenia przybierały cudze wonie, podobnie jak przybierają kształty cudzego ciała! Ileż niewinnych gąsiennic straszyło drapieżnym zapachem pająka albo jadowitym wiatrem wijów i wielongów?!

Trop zająca, sarny, wiewiórki, jelenia czy łosia był jasny. Wszystkie zalatywały potem ostrzejszym lub słabszym, potem zwierza zmęczonego lub zwierza wypoczętego. Lis, kuna, łasica, wydra czy soból, tchórz czy borsuk, pozostawiały za sobą mętny oddech piżma, znieczulający nozdrza na inny trop.

Lecz były między tropami i takie, których zapach zjeżał na karku wrażliwy włos i wywoływał groźne kłapanie zębów. Ich treści nie umiał sobie jeszcze wytłumaczyć: psie a jakby psie, kocie, a jakby nie kocie...

Skradając się po śnieżynach wydeptanych przez wszelkiego zwierza, wiodących do wodopojów, Świstun poznał też wielkie prawo wiatru. Dopiero gdy nauczył się unikać jego zdradliwych powiewów i iść pod prąd powietrzny, zdołał podejść po raz pierwszy złociste stado sarn pilnowane przez rogatego samca. Mało przy tym nie postradał życia. Pełzając skrajem jałowca pod padlinę, wiedziony pożądaniem myśliwskim nieoględnie wypadł i rzucił się na sarny. Wtedy prowodyr, tęgi sarniak, kryjąc ucieczkę swych kóz, uderzył w psa ostrymi rogami. Tylko natychmiastowy odwrót uratował mocno zagrożoną skórę, niedoświadczonego w takich sprawach Świstuna.

Nie był to zresztą jego jedyny wypadek. Obaliła go samura, na którą wpadł niespodziewanie. W liściastych haszczach pokąsał go boleśnie pewien młody zając, z którym się chciał po prostu zabawić.

W dodatku ciało, w leszczynach tarte, obsadziły całe kolonie pękatych kleszczy, powodując bolesne ranki i nieznośne swędzenia.

W czasie wędrówek spotykał kilkakrotnie ludzi. Wiedziony ostrzegawczym instynktem skakał na ich widok w gąszcz najbliższego krzaka i leżał tam nieruchomy, warując, prawie bez oddechu. Ci ludzie nocy byli inni, niż znani mu ludzie dnia. Przechodzili przez las jak cienie i jak cienie znikali bez śladu. Pozostawał tylko po krzakach i liściach kręcący w nosie cuch machorki i zaduch kożucha.

A był to czas w lesie, kiedy umajenie wiosny dawno zniknęło. Księżyc utracił też wiele ze swego blasku. Rąbkiem tarczy wychodził nad ranem na przyjaśniony horyzont i tam gasnął w promieniach przedświtu. Dawno umilkły czerwcowe chóry śpiewacze, cudowne koncerty nocy leśnych. Las stał się cichy, surowy, głęboki, jakby w rozmyślaniu nad tym kwieciem, liściem i majem, co przeszły i nad tym co w chłodzie i złotym poszyciu jesieni przyjdzie dopiero.

Tylko w krzakach, za lada stąpnięciem, odzywały się dwusylabowe głosy troski i przestrachu: ostrzeżenie gniazd pełnych piskląt.

Jednego miejsca w lesie starannie unikał Świstun: tego, na którym znalazł się podczas pierwszej nocy pod drzewami. Nie zapuszczał się nigdy w ów przesiek, ani nie zachodził na polanę wśród starych sosen. Natomiast z upodobaniem przedzierał się bagnami na te bardziej niedostępne brzegi jeziora Bladego. Tam było czym oddychać, na co patrzyć, żyć i cieszyć się życiem. Tam wiatr przynosił wieści o kaczorach i gąsiorach zaszytych w oczeretach i spławach, tam opierzały się na kępach całe stada błotniaków i wrzało zawsze pośród gęstej, szumnej, za lada podmuchem rozśpiewanej, zieleniny wodnej. Tam liczne ścieżki z lasu wbiegały na plaże piaszczyste i wiodły na brzeg szeroki. Tam coraz inne zwierzęta, każde o innej porze, każde inaczej skradając się — podchodziły do wodopoju.

I dziś Świstun zmierzał w swe ulubione strony. Przebiegł prędko las przy osiedlu, minął dalszy, wysokopienny, przeczołgał niskie sosnińce i zagajniki pachnącego jałowca, aż znalazł się nad obszernym mokradłem, pełnym torfu i czarnych głębokich kałuż. Przebrnął mokradło, wychłeptał trochę wody bagnistej z pod napółzgniłego pnia, przepłynął jakąś większą kałużę, wreszcie poczuł twardy grunt pod nogami: piasek. Była to jakby wielka ławica, porośnięta częściowo krzakami, częściowo rzadką trawą.

Ławica jednym rogiem dotykała nieco suchszej partii lasu, lecz z trzech stron była strzeżona grzązkim moczarem i wodą jeziora. Był to zakątek cichy, odludny, nawet przez zwierzynę zrzadka odwiedzany, lecz można tam było wyciągnąć się na piasku, posłuchać szeptów wody i czekać w półdrzemce, co wiatr przyniesie z trzcin i lasu.

Ledwo tam stanął i zaczął otrząsać się z wody, gdy doleciał mu do nozdrzy nowy a podniecający zapach. Przerwał otrząsanie i przypadł do ziemi warując. Zaczął pełznąć pomału w kierunku wielkiego jałowca, rosnącego na skraju łachy. Tam w tych gałęziach znajdowało się to coś: cuch ptaka połączony z zapachem krwi. Zbliżał się pomaleńku, sunąc brzuchem po ziemi, łapy kładł poduszkami palców, a szyję wyciągnął jaknajdłużej, by nie zdradzić cienia własnego ciała, na białym piasku odbitego księżycem.

Już był blisko... tuż, tuż! Już zebrał się w siebie by skoczyć naprzód i zagar-

nąć ukryte w krzaku pod łapy i pysk, gdy rozległ się cienki syk i ostry dziób, wyrzucony jak strzała z łuku z pod gałęzi, mierzący prosto w jego głowę, dotknął pyska i zranił nos dotkliwie. Świstun uskoczył w bok. Gdy zdołał znów rzucić się naprzód, zagroził mu znowu drogę dziób, rażący tak boleśnie. Nie było się poco dłużej kryć. Świstun zaczął pieskim obyczajem okrążać osaczoną zwierzynę, skacząc dla próby baczności przeciwnika to wprzód to wtył. Lecz każdy jego krok naprzód napotykał zawsze na przeszkodę syczącego dzioba.

Ptak był ranny. Świstun wiedział o tym, czuł bowiem krew i ropę.

Świstun kombinował: słaby ptak nie będzie mógł bronić się dziobem, jeśli się obejdzie krzak i rzuci nań od tyłu. Porzucił więc taktykę doskoków i zaczął przesuwać się coraz bardziej na lewo.

Gotów do ostatecznej rozprawy zebrał się do dalekiego rzutu, gdy gwałtowne poczucie grożącego innego niebezpieczeństwa kazało mu obrócić się wstecz. Wykonał zwrot na tylnych łapach i znowu stanął z wzrokiem utkwionym w ciemności. Każdy muskuł drżał w lotnej władzy, napięty i gotów do obrony i ataku. A był najwyższy czas.

Ledwo bowiem ukończył ów manewr bojowy, coś wielkiego i czarnego runęło powietrzem i jak burza spadło na piasek, właśnie na to miejsce, na którym znajdował się przed chwilą. Zobaczył tylko dwa wielkie, płonące zimnym ogniem ślepia i rząd kłów tak białych, że aż fosforyzujących w ciemności. Równocześnie buchnął na psa okropny odór rozzłoszczonego kota.

Świstuna od razu ogarnęła wściekłość bojowa. Tak! poznał go! To ów wróg odwieczny, a nieosiągalny, zawsze zręczniejszy, zawsze uciekający na drzewo lub mur. Teraz mu nie ucieknie!...

Lecz kocisko wcale nie zamierzało uciekać, przeciwnie: uderzyło na Świastuna całym ciałem. Skok i uskok, skok i uskok... Wszystko wśród chrapliwego miauku i wściekłych kłapań zębiskami. Oto stalowe pazury dosięgły już psa i rozdarły mu skórę na karku. Z kolei podniecony bólem Świstun warczy i atakuje. Rzuca się naprzód. Lecz jeszcze w locie uderzają ciało dwie kłonice łap i odrzucają w bok daleko. Pies ruluje, lecz zaraz staje na nogi-sprężyny. Za późno! Wielkie ciało całym swym ciężarem spada mu na grzbiet i ciśnie przemocą ku ziemi, wielkie zakrzywione pazury drą skórę w płatach, a kły szukają tętnicy na szyji.

I byłaby to ostatnia chwila Świstuna, gdyby nie dar człowieka: obroża. Ostre zęby drapieżcy ośliznęły się po stalowej tabliczce z grawirowanym imieniem, a zakrzywiony kieł zaczepił się o małe kółko, przeznaczone do umocowania smyczy. Chrupnęła kość. Ryś zachwiał się, Świstun wygiął grzbiet, otrząsnął kota i przyciął w bok zębami. Szczęknęły dwa białe garnitury uziębień, podobnie jak szczękają szable szczerbiące się w pojedynku. Odwróciła się sytuacja. Ryś leżał na grzbiecie, teraz Świstun sięgnął do rysiej szyji.

Lecz ryś przewrócony jest równie niebezpieczny dla wroga, jak ryś stojący na wszystkich czterech łapach. Bo właśnie owe łapy, teraz wolne, sprężyste, uzbrojone każda w pięć zakrzywionych noży-pazurów, rwały psu jego miękką skórę na brzuchu. Lecz Świstun chwycił i nie puszczał. Raz wraz spotykały się pyski, a warkot, szamotanie i wrzask koci szły dalekim echem po wodzie, budząc zaspałe ptaki na gniazdach. W końcu cztery kocie łapy podwinęły się jak sprężyny i jak sprężyny wyrzuciły Świstuna wysoko w powietrze, a uwolniony ryś, jednym susem, wpadł w cień krzaków i zniknął między drzewami.

Na placu boju pozostał zwycięzca Świstun. Nie ścigał przeciwnika. Krew zalewała mu pysk, oczy i nozdrza. Zlizywał tą krew pomału i pomału opatrzył w ten sposób wszystkie dla języka osiągalne rany. Ślina nie tylko koiła ból, ale i tamowała upływ krwi. Po tym opatrunku otrząsnął się, pomachał ogonem i — zaraz ruszył kłusem, na pieski sposób, sunąc boczkiem, a ścigając pierwszy trop koło krzaka jałowcowego. Lecz pod krzakiem niczego nie znalazł. Świeży ślad krwi wiódł prosto w bagienko za łachą.

Przy końcu tropu leżała na ziemi wielka czapla. Widząc nadchodzącego wroga nie próbowała bronić się więcej. Gdy przerażona zgiełkiem walki wyrwała się z pod krzaka i pokusztykała dalej, tutaj opuściły ją siły. Poddała się owemu losowi, który prawem lasu zdawał się być nieunikniony: śmierci. Gdy kto ranny, gdy kto sił na obronę nie posiada jest w lesie tylko żywym ścierwem, mięsem, pożywieniem innych — niczym więcej. I tak dobiłby biedną czaplę każdy, nawet brat czy siostra własnego rodu. Takim jest już prawo lasu.

Świstun stanął nad ptakiem merdając ogonem. Zapach kota zabił w nozdrzach zapach ptaka, a świadomość niedawnego tryumfu uśpiła w nim wole bojowe. Toteż, gdy krew z pokrwawionego pyska zaczęła kapać na bezwładne skrzydła czapli — zaczął ze skrzydeł ową krew zlizywać. Juchy było sporo, bo i rana ptaka przy nasadzie skrzydła krwawiła obficie. Świstun w zapale zlizywał krew własną i cudzą. Lizał długo... a gdy ptak sił nieco odzyskał i podciągnął skrzydła — lizał dalej. Więc czapla skuliła nogi, złożyła szyję na grzbiecie, tak jak to czyni do lotu, w literę „S" i siedziała spokojnie raz zamykając, raz otwierając przejrzyste błony oczu...

●

Fragment powieści, która w najbliższym czasie pojawi się w handlu nakładem „Księgarni Powszechnej" w Krakowie.

WSPÓŁCZESNA POEZJA HISZPAŃSKA—WRAŻENIA I REFLEKSJE (II)

Krzysztof Wencel

Antonio Machado

Przyjaciel Rubena Darío, Antonio Machado, jest poetą o całkowicie swoistej organizacji psychicznej. Ze wzrokiem skierowanym w głąb siebie, zasłuchany w rytm świata wewnętrznego, unika tego wszystkiego, co jest szychem, blichtrem, łatwizną, zewnętrznością. Poezja Antonia Machado jest poezją bez retoryki, bez łatwej elokwencji, bez koturnów i bez efekciarstwa. „Istota poezji polega dla mnie nie na uroku słowa i jego wydźwięku, nie na czarze koloru lub formy, ale na reakcji naszej wrażliwości na kontakt z rzeczywistością" — oto wyznanie wiary poetyckiej Antonia Machado. To przeniesienie punktu ciężkości ku wewnątrz, obranie kierunku głębi jest nowym, niejako północnym elementem w poezji hiszpańskiej, wrażliwej — jak każda poezja południowa — przede wszystkim na czar życia zewnętrznego.

Być może, że Antonio Machado poszedł w kierunku skupienia i powagi nie tylko dlatego, że wymagała tego jego natura. Należy on wszak do „pokolenia roku 1898", jednego z najtragiczniejszych w Hiszpanii, pokolenia, które było świadkiem klęski kraju w wojnie ze Stanami Zjednoczonymi, wskutek której straciła Hiszpania razem z koloniami cały prestiż polityczny. Fakt ten wstrząsnął głęboko krajem, zbudził go z odrętwienia, zmusił do szukania nowych dróg. Sytuację psychiczną Hiszpanii można by może porównać z sytuacją Polski w okresie rozbiorów. Ruch ten — podobnie jak i u nas — szybko przerzucił się z dziedziny politycznej na dziedzinę duchową. Początkowo szukano wzorów kształtowania rzeczywistości w Europie, potem nastąpiła reakcja, zwrot do kraju, szukanie w samej Hiszpanii nowych źródeł sił, możności odrodzenia. Na myśl przychodzą słowa św. Augustyna: „Noli foras ire; in interiore Hispaniae habitat veritas".



Juan de Torres Garcia — Ulica

W ten sposób powstała współczesna poezja hiszpańska, która przyswoiła sobie nowe formy europejskie, wyrosła

jednak z rzeczywistości hiszpańskiej, ze spojrzenia w głąb kraju, w głąb duszy narodu.

Poezja Antonia Machado przesycona jest bolesnym krytycyzmem w stosunku do ojczyzny, zwłaszcza do ziemi kastylskiej, która stała się ziemią z wyboru poety, urodzonego w Andaluzji. Już w pierwszym jego tomie „Soledades“ (1903) znajdujemy zawiązek mocnych, głębokich wierszy, w których pejzaż — pustynny i beznadziejny — jest tragiczną interpretacją duszy kastylskiej, wyrazem bolesnej miłości do „wyklętej“ ziemi:

Oh pobres campos malditos
pobres campos de mi patria!

Spartański pejzaż kastylski przez swe ubóstwo, przez swą prostotę sprzyja uniesieniom ducha, jest źródłem sublimacji przeżyć.

Z prostotą pejzażu łączy się monotonia życia poety w małym prowincjonalnym miasteczku, gdzie dzień podobny jest do dnia, dziś do wczoraj:

un dia es como otro dia,
hoy es lo mismo que ayer...

Toteż w poezji Antonia Machado — w przeciwieństwie do świata poetyckiego Rubena Darío — znajdujemy niesłychane ubóstwo motywów: rynek małego prowincjonalnego miasta, fontanna w opuszczonym patio, nocna przechadzka, szare drzewa oliwkowe, skrzypiący kierat studni, spalone słońcem drogi, cierpliwa praca objuczonych osłów, monotonia codzienności, nieustanna rezygnacja, „smutek Don Quijote'a na łożu śmierci“. Surowa prostota tej pustynnej ziemi jest znakomitą obroną przed błyskotkami tak modnego wówczas sentymentalizmu, przed fałszywymi słowami i gestami. A tej prostocie, temu ubóstwu odpowiada spartańska wstrzemięźliwość poety, gdy chodzi o wyraz zewnętrzny uczuć, o słowa.

A jednak poeta potrafi wydobyć przy pomocy niewielkiej ilości elementów dużą wartość liryczną, potrafi wstrząsnąć nami, ukazując jakiś nowy aspekt znanej rzeczywistości, dać nam momenty jak najgłębszego wzruszenia.

Poeta wyraża życie codzienne z uczuciem głębokiej goryczy. Czystość wewnętrzna i smutek są ostateczną krystalizacją jego stosunku do życia. Może jest to odbicie smutku ziemi kastylskiej, „ziemi pogardy i siły“, pozbawionej wszystkiego, co jest radością życia. Czasem tylko pozwala poeta rozkwitnąć jakiejś radosnej emocji i nagle chowa się w głąb siebie, w ślimaczą skorupę cierpienia.

Przebywający stale w regionach duchowej wzniosłości, z nieustannym poczuciem odpowiedzialności za zło, które się stało i które ciąży nad krajem, oko w oko ze straszliwą rzeczywistością pustynnej ziemi, sam na sam z Bogiem, „buscando a Dios entre la niebla“ — pewnego dnia spostrzega z trwożliwym zdziwieniem przybycie wiosny. Rozluźnia się do ostatnich granic napięta cięciwa łuku. Z niezmiernym wzruszeniem, z rozbrajającą tkliwością spogląda ten człowiek o tak surowym klimacie wewnętrznym na świąteczną zieleń przydrożnych topoli, na nowe listki starych wiązów, na stokrocie wśród trawy, na kwiat śliw, i te przecież zwykłe i po tysiąckroć zużyte akcesoria wiosny potrafią i nas zaskoczyć jakimś nowym wzruszeniem, zasugerować nam tę samą tkliwość, pozbawioną zupełnie sentymentalizmu.

Ale są to momenty niezmiernie rzadkie. Antonio Machado, wielki samotnik i asceta nie umie, czy nie śmie upoić się urodą życia, odsuwa ją do sfery marzenia.

Milczący i tajemniczy, wsłuchany w rytm doznań wewnętrznych raczej niż w rytm otaczającego świata, przetwarza rzeczywistość zewnętrzną — w myśl wyznania swej wiary poetyckiej — w obrazy z pogranicza myśli i snu.

Wszystko w nim zarysowane jest wielkimi liniami. Miłość jego nie zna granic, rodzi w nim wszechobejmujące współczucie „dla jelenia i dla myśliwego, dla złodzieja i dla okradzionego, dla ptaka, którego jastrząb porwał i dla krwiożerczego jastrzębia“.

Y fue compasivo para el ciervo y el cazador,
para el ladrón y el robado,
para el pájaro azorado,
para el sanguinario azor.

Melancholia jego jest bezgraniczna, jest zasadniczym tonem jego psychiki, potrafi on jednak trzymać się z daleka od fałszywie brzmiącego pesymizmu, który był tak bardzo w modzie. W dwugłosie beznadziei, którą ogarnia całą gorycz istnienia i nadziei, która każe czekać — częsty motyw w jego poezji — zwycięża jednak nadzieja:

En el ambiente de la tarde flota
ese aroma de ausencia
que dice al alma luminosa: nunca
y al corazón: espera.

Podobnie jak Rubén Darío, również i Antonio Machado dąży do uwolnienia liryki z więzów przeszłości, ale poezja jego jest szorstka, męska, opanowana, bogata w „aquellos versos profundos cuyo secreto era de él — w głębokie wiersze, których on tylko znał tajemnicę“.

„Soledades“ (1903), „Campos de Castilla“ (1912), „Poesias completas“ (1917), „Neuvas Canciones“ (1925) — oto etapy jego twórczości, powolnego wspaniałego dojrzewania. Coraz bardziej idzie poeta w głąb siebie, coraz częściej przebywa na szczytach, na których tylko z Bogiem się obcuje, — quien habla solo espera hablar a Dios un dia. Coraz bardziej uwalnia się poezja jego od przypadkowości istnienia.

Wielki samotnik przynosi nam poezję, w której wszystko jest prostotą i surowością, poezję wielkich linij, pozbawioną wszelkich ornamentów, dziś już klasyczną poezję, przez którą wionie — tak rzadko spotykany — prawdziwy oddech piękna.

Z CYKLU „GALERIAS”

Antonio Machado

Mchami porosła ława pod laurem zielonym
w wilgotnym błyszczy cieniu;
deszcz obmył liście bluszczu wiecznie zapylone,
szeroko rozpostarte na białym kamieniu.

Łagodny oddech wiatru wionie po traw fali
i szeroka aleja w liściastej rozchwiei
gawędzi z wiatrem w dali...
O, wietrze przedwieczorny w jesiennej alei.

I podczas kiedy w blasku zachód cały tonie
(w złotych kiściach winogron przegląda się słońce)
i gdy poczciwy mieszczuch na swoim balkonie
stoicko pali fajkę z tytoniem dymiącym,

idę przed się wskrzeszając me wiersze młodzieńcze..
O, serce me dźwięczące, cóż się z tobą dzieje?
Czy prawda, że giniecie, drogie cienie wdzięczne,
umykając wśród drzew, co, złote, lśnią w alei?

tłum. K. Wencel



Fritz Röll — Zamyślona
(Z ostatniej wystawy rzeźby niemieckiej w Polsce)

BOCZNY TOR LITERATURY

Aleksander Czyżewski

Przy okazji omawiania wyników zorganizowanego przez Związek Zawodowy Literatów Polskich konkursu na przekład poetycki z języków: francuskiego, angielskiego, rosyjskiego i niemieckiego prof. A. Tretiak podkreślił wyjątkowe niedocenianie pracy tłumacza przez ogół czytającej publiczności, a co za tym idzie niepopularność zawodu tłumacza i niski stan przekładów poetyckich i prozatorskich w Polsce. A przecież, jak słusznie mówił dalej znakomity krytyk i naukowiec, przekład stanowi sam w sobie dyscyplinę i dzieło sztuki. Wszelkie dzieło sztuki zawiera w sobie pierwiastki nieskończoności. W literaturze nieskończoność tę obserwujemy przede wszystkim w reżyserii teatralnej i w stopniu bodaj jeszcze silniejszym w przekładzie utworu na język obcy. Reżyser nadaje utworowi dramatycznemu piętno własnej osobowości, tłumacz przepaja opracowywany przez siebie utwór literacki własną dumą i pokorą. Dumą z osiągniętych w pracy wyników, pokorą — wobec niemożności dorównania ideałowi oryginału. Toteż sztukę przekładu niejednokrotnie należało by stawiać wyżej od oryginalnej twórczości literackiej. Miłośnicy i znawcy Puszkina, a zarazem krytycy o wypróbowanym niejednokrotnie obiektywiźmie, stawiają np. niektóre z tuwimowskich wierszy „Lutni Puszkina“ wyżej od ich oryginału.

Nie wdając się w dalsze rozważania teoretyczne na temat wartościowania estetycznego utworu oryginalnego i transkrypcji jego w obcym języku, przyjdzie nam dłużej zatrzymać się nad zagadnieniem przekładów na polskim rynku księgarskim. Przede wszystkim trzeba stwierdzić, iż w Polsce w ogóle nie ma literatów-tłumaczów. Przekład pozostaje u nas jeszcze ciągle bocznym torem literatury, nawiedzanym rzadko przez pierwszorzędne pióra, zatarasowanym na codzień przez ponurych rekordzistów grafomaństwa i okaleczałej okropnie polszczyzny. Przyczyny tego stanu rzeczy szukać by należało w różnych — specyficznych dla polskiego rynku księgarskiego i czytelnictwa zjawiskach.

Przede wszystkim nasze kontakty intelektualne już nie tylko z daleką obczyzną, lecz i Europą są jeszcze ciągle niewystarczające. Znajomość języków obcych pozostaje nadal zjawiskiem indywidualnym i streszcza się do umiejętności posługiwania się najpotrzebniejszymi skrótami myślowymi, słówkami z kieszonkowych „podręczników“ niemieckiego czy francuskiego. W kawiarniach polskich widzi się dużo obcych gazet, w czytelni z trudnością można otrzymać książkę angielską czy francuską, choćby autorem był Galsworthy czy Romain Rolland. O sprowadzaniu książek zza granicy przez osoby postronne spoza świata naukowego czy literackiego w ogóle nie ma mowy.

Zjawisko drugie to niski stan czytelnictwa w znaczeniu zarówno ilościowym jak i jakościowym. Dawniej w Polsce nie kupowało się książek, teraz przestaje się je w ogóle czytać. Nakład 3 do 5 tysięcy egzemplarzy w dzisiejszych czasach to ewenement, o którym wspominać będą z rozczuleniem przez długie miesiące. Najpoczytniejszych pisarzy polskich drukuje się w nakładzie 2 do 3 tysiące egzemplarzy, tom wierszy rzadko przekroczy granicę 500 książek. Rzecz prosta, iż w odniesieniu do pisarzy obcych liczby te ulegają na ogół zrównaniu w dół.

Ale niskie nakłady to jeszcze nie wszystko. W naszych specyficznych warunkach ważniejsze od tego ile jest co się czyta. Na to pytanie odpowiedzieć trzeba z głębokim wstydem i bólem, iż najbardziej poszukiwaną „literaturę“ stanowią beznadziejne brechty, schlebiające najniższym instynktom: rozerotyzowana egzotyka ala Marczyński, tysiączne odmiany Wallace'ów, ckliwe romansidła Dell, Berty Ruck, Courts-Mahler. Te książki są poszukiwane, te książki „idą“. Toteż w czytelniach i wypożyczelniach mamy po jednym egzemplarzu Manna, Tołstoja, Galsworthy'ego, Romainsa i Dreisera, oraz po kilkanaście Leblanca, Zevaco, Pittigrillego.

Wobec minimalnego zapotrzebowania na wielką literaturę obcą nakłady jej są równie małe. Za autoryzowany przedkład powieści płaci się od 10 do 25 zł. za arkusz. A przecież przetłumaczenie 240-o stronicowej książki zajmuje 2 do 3 miesięcy czasu. Zwłaszcza wtedy, jeśli przedrzeć się trzeba przez gąszcz psychologizmów, niepowtarzalnego stylu wielkiego pisarza, celowych częstokroć wtrętów gwarowych i zawiłości konstrukcyjnych. Za taką pracę, wymagającą dokładnej znajomości całej twórczości danego autora, otrzymuje się w najlepszym wypadku 350—400 zł! A przecież trzeba jakoś żyć, trzeba za coś kupować książki i czasopisma literackie interesującego nas kraju.

Toteż literaci coraz bardziej odsuwają się od pracy przekładowej. Niekażdy chce i może być Boyem, honorowym ambasadorem kultury francuskiej w Polsce. Coraz rzadziej czytamy pod tytułem obcej powieści nazwisko znanego pisarza, coraz częściej pojawiają się natomiast pseudonimy-kryptogramy, inicjały lub nawet zupełne pominięcia tłumacza. Zalewa nas fala złych książek w jeszcze gorszej, wywołającej o interwencję cenzora, polszczyźnie.

Ten stan rzeczy budzi coraz poważniejsze obawy nie tylko w eksluzywnym środowisku literackim, lecz w kołach naukowych, pedagogicznych, ba pośród samej inteligencji czytającej. Obawy te są tym poważniejsze, iż nie widać na razie dróg wyjścia z wytworzonej groźnej sytuacji.

Bo trzeba sobie powiedzieć, iż sprawa niechlujnej polszczyzny w przekładach powieściowych czy poetyckich nie ogranicza się tylko do zagadnień ściśle literackich. Chodzi tu o coś więcej, co pociągnąć może za sobą bardzo poważne następstwa.

W języku polskim siłą rugować należy barbaryzmy i naleciałości niemieckie czy rosyjskie. Coraz mniejszy procent Polaków włada dobrym językiem polskim. Coraz częściej w prasie a nawet enuncjacjach naukowców napotykamy tysiączne kwiatki z oślej łączki, kwalifikujące się do camery obscurissimy języka polskiego. Sto czterdzieści lat niewoli, szybka mechanizacja, wreszcie kryzys gospodarczy pozostawiły na języku polskim ślady, których zatarcie jest już oczywistą niemożliwością. Jeśli uwzględnić jeszcze przerażająco wysoki, z roku na rok wyższy procent analfabetów oraz znaczne zagęszczenie w niektórych województwach i ośrodkach miejskich mniejszości narodowych — dojdziemy do wniosków ogólniejszych, dźwięczących bezpardonowym memento mori: mówimy coraz gorszą polszczyzną, tortujemy na co dzień język polski.

Film dźwiękowy i radio z dużym powodzeniem wypierają książkę. Inteligent sprzed lat 20 nie słyszał w ciągu roku tylu obcych, częstokroć niezrozumiałych słów, ile ich słyszy dzisiaj w ciągu tygodnia. Do kina idziemy na film francuski, amerykański lub niemiecki. Przez radio słuchamy angielskich foxtrotów, hiszpańskich tang, francuskich bostonów i niemieckich walców...

Ale mimo kryzysu i mimo nowe rozrywki książka ciągle jeszcze pozostaje najpopularniejszym instrumentem oddziaływań emoncjonalnych i artystycznych. Toteż książkę tę otoczyć należy najczujniejszą uwagą, dopomóc jej w trudnej walce z barbaryzmem i obczyzną. Jeśli nie możemy mówić na co dzień poprawną polszczyzną, czystym językiem literackim — spotykajmy go przynajmniej na kartach książki, każdej książki jaką czytamy.

Sformułowanie powyższe nie opowiada się w żadnym wypadku przeciw książce obcej. Chcemy i musimy wzmacniać nasze kontakty intelektualne z zagranicą. Chcemy i musimy czytać coraz częściej czołowych pisarzy literatury światowej. I nie chodzi tutaj także o wyklinanie w czambuł popularnej literatury rozrywkowej obcej. Poza nielicznymi wyjątkami natury obyczajowej czy społecznej nie mamy nic przeciw przekładom lekkich utworów pisarzy obcych. Naturalnie jeśli utwory te posiadają jakiekolwiek wartości treściowe i formalne. Ale jak najprędzej położyć należy kres korsarstwu przekładowemu, świadomemu kaleczeniu języka polskiego, niezdrowej i nieuczciwej konkurencji na rynku tłumaczeń.

Bo przecież z zagadnieniem fatalnych przekładów wiąże się i sprawa wzmożonej podaży na rynku księgarskim. „Hurtownik“ od adoptowania brukowych książek żąda za swą pracę bardzo mało, ale dostarcza 2—3 tłumaczenia w ciągu miesiąca. Toteż zarabia znacznie więcej od literata-tłumacza, podchodzącego do swej pracy z zamiłowaniem i pietyzmem, uzbrojonego w tęgą wiedzę i gru-

be słowniki. Do czego doprowadza taka konkurencja mogliśmy stwierdzić po W. Rogowiczu, którego przekład 3 tomów tetralogii Montherlanta przypominał schodzenie po drabinie o szeroko rozstawionych szczeblach...

Toteż boczny tor literatury musi ulec likwidacji. Rzecz prosta, iż likwidacji tej nie uda się przeprowadzić z dnia na dzień, iż potrzeba tutaj wytężonej współpracy wszystkich zainteresowanych środowisk na przestrzeni długich lat. Obok zorganizowania przy oddziałach Związku Zawodowego Literatów Polskich sekcyj tłumaczów chodziło by tutaj o pewną ingerencję władz państwowych. Skoro każdy druk w Polsce przechodzi przez cenzurę, niech by cenzura nie ograniczała się do akceptowania czy dyskwalifikowania treści kartkowego utworu literackiego, lecz zwracała porównu uwagę na zagadnienia językowe. Zajęcie kilku, czy kilkunastu książek za wykroczenia przeciw kanonom językowym, za kaleczenie polszczyzny — wywołując rwetes pośród niepoważnych wydawców — przyczyniło by się niejako automatycznie do podniesienia przeciętnego poziomu przekładów. Wielką rolę może tu również odegrać krytyka, streszczająca się przeważnie do ogólnikowych sloganów „przekład poprawny" i „przekład chropowaty".

Zagadnienie przekładów na polskim rynku księgarskim dojrzało do rozwiązania. Bo zagadnienie to, jak mówiliśmy już wyżej, to również sprawa ogólniejsza, pozaliteracka — sprawa dotycząca przeogromnego dobra kulturalnego i duchowego: języka polskiego.

GWOŹDZIE FESTIVALÓW SALZBURSKICH

Ewaryst Płonka

Czy „Finis Austriae!" oznacza również koniec Festivalów Salzburskich? Poniekąd tak, i czasopisma wszystkich krajów odprawiają żałobne egzekwie ku czci ś. p. „Salzburger Festspiele", a Antoni Słonimski zgłasza roszczenia spadkowe w imieniu naszego Krakowa na łamach „Wiadomości Literackich" zyskując za to (a raczej mimo to) słowa gorącego uznania od „I. K. C.", stałego antagonisty tego tygodnika.

Pierwszy świetny okres salzburskich uroczystości muzycznych jest już niewątpliwie zamknięty. Z tej racji moje wspomnienia i wrażenia z tych uroczystości posiadają obecnie już „historyczną" wartość.

Salzburg, położony w samym środku Austrii, w panoramie Alp, przecięty wstęgą rzeki Salzach i spięty klamrami mostów, czaruje i podbija serca swą pięknością nie tylko, że tak powiem, fizyczną, lecz i duchową. Ten gród arcybiskupi był bowiem od wieków siedliskiem muz i miał szczęście posiadać dobrych włodarzy, którzy potrafili uchronić od zniszczenia to, co stworzyli. Najznakomitszy z nich, arcybiskup Paris Lodron był już w czasach wojny trzydziestoletniej wyznawcą idei zbrojnego pokoju, którą my zwykliśmy uważać za wyraz mądrości naszych czasów. On to kazał ulać 4.000 dział i moździerzy, ilość na owe czasy poprostu wzbudzające grozę, po to właśnie, aby „ani jedna kula nie przebiła ani jednego serca ludzkiego". Jeszcze dziś góruje nad Salzburgiem wspaniała warownia Hohensalzburg, a pod jej skrzydłami zakwitło miasto wszystkimi urokami swych renesanowych i barokowych pałaców i kościołów. Jak bardzo kochano tu muzykę, świadczy choćby fakt, że w starej rezydencji arcybiskupiej jest sala z balustradą z lanego mosiądzu, której każdy słupek wydaje inny ton muzyczny i druga, w której 7-letni Mozart wystąpił z swym pierwszym koncertem, gdyż jak wiadomo był on dzieckiem Salzburga, gdzie ojciec jego, Leopold, przebywał jako nadworny, arcybiskupi muzykus i kompozytor. Nic więc dziwnego, że w mieście, w którym urodził się Wolfgang Amadeusz Mozart, gdzie już w r. 1618 wystawiono pierwszą niemiecką operę, kult muzyki i kult Mozarta powołały do życia instytucję stałych obchodów muzycznych i teatralnych ku jego czci. Długo, co prawda, trwało, nim świat i ojczyzna oceniły geniusz Mozarta, którego zwłoki pochowano w r. 1791 w Wiedniu we wspólnej mogile dla ubogich, lecz gdy w pięćdziesiąt lat później wystawiono mu w rodzinnym mieście pomnik, rzucono tę myśl, co stała się ciałem dopiero w roku 1920. W tym ciele, pięknym, jak wszystko co powstawało w tym pięknym mieście, pulsowało aż do ostatnie chwili, tj. w ciągu lat 17-tu bujne życie artystyczne, promieniujące niemal na cały świat kulturalny i ściągające do Salzburga każdego lata elitę umysłową i towarzyską wszystkich krajów, zwłaszcza z Anglii, Ameryki, Francji i Italii.



Salzburg — stała sceneria do Fausta z 3 kondygnacjami lóż

Pierwsze widowisko zainscenizował znakomity reżyser Maks Reinhardt w roku 1920.

Ponieważ wspaniały „Festspielhaus“ został zbudowany dopiero w roku 1926-ym, wystawił on Hofmannsthala „Jedermann“ pod gołym niebem na placu przed starym tumem, używając go za tło dla ustawionej przed nim prostej sceny z desek, bez żadnych kulis ani osłon.

A gdy w r. 1926 otwarto nareszcie wrota nowego „Festspielhaus“ przebudowanego z kompleksu historycznych budynków z XVIII-go stulecia) dał tam Reinhardt nie tylko wspaniałą inscenizację I-szej części „Fausta“, Goethe'go, lecz przysporzył miastu jeszcze jedną „Sehenswürdigkeit“, osobliwość nad osobliwościami, mianowicie całe średniowieczne miasteczko w stylu gotyckim, „Fauststadt“, wbudowane na 20 metrów wysokości w pionowo tu opadającą ścianę Mönchbergu i w trzy kondygnacje arkad dawnej ujeżdżalni z końca XVII-go wieku. Dookoła podwórca tej arcybiskupiej ujeżdżalni biegnie 96 lóż, wykutych w dawnych kamieniołomach dla dworu i gości, którzy w owych czasach przyglądali się turniejom i grom rycerskim, odbywającym się na tym dziedzińcu. Te właśnie arkadowe loże stanowią istotnie wspaniałe tło dla wspomnianego miasteczka, w którym rozgrywają się legendarne losy Fausta i Małgorzaty. Być może, że asumpt do wybudowania „miasta Fausta“ dał Salzburgowi fakt, że tu właśnie żył, pracował i umarł w r. 1541 sławny Teofrast Paracelsjusz, lekarz i alchemik. W kościele św. Sabastiana znajduje się jego grobowiec. Był współczesny Faustowi i potomni łączyli ich imiona, przypisując obydwom te same czarnoksięskie sztuki. Samo zaś miniaturowe miasteczko stało się jeszcze jedną atrakcją dla zwiedzających Salzburg. Kto nie może być na przedstawieniu Fausta, ten musi chociaż obejrzeć tę niezwykłą scenerię, te niby p r a w d z i w e domy, a głównie tę p r a w d z i w ą lipę, dokoła której tańczą mieszczanie w dni świąteczne, przesadzoną tu z parku miejskiego na rok przed rozpoczęciem widowisk, i p r a w d z i w y ogródek (dla lalek) z p r a w d z i w y m i, z gruntu wyrastającymi grządkami kwiatów, hodowanych z wielką troskliwością, wśród których gruchają Faust i Małgorzata, Mefisto i Marta Schwertlein. Nic tak nie oślniewa w większości jednak naiwnego widza i nie dostarcza mu tak taniej sensacji jak właśnie ta prawdziwa lipa i te prawdziwe kwietniki. A przecież cała prawdziwość tego miasteczka jest tylko pozorna. Zamiast ruchomych kulis z płótna i tektury mamy tu od kilku lat stojące i odrazu jakoby patyną wieków pokryte trójwymiarowe domy z drzewa i cementu, mamy kościół, sklepienia piwniczne, mamy pracownię Fausta i domek Małgorzaty. Cała różnica polega, że tak powiem, na odwróceniu frontu, gdy bowiem każde wnętrze sceniczne przez brak ściany od strony widowni daje tylko 50% ułudy rzeczywistości, a nowoczesna scena syntetyczna zaledwie 25%, tutaj widzowi wszystko wydaje się realistyczne i kompletne w conajmniej 75%. Lecz w gruncie rzeczy wszystkie te solidne budowle są tak samo na „niby“ jak wszystkie dekoracje teatralne, są taką samą iluzją, mają również tylko trzy ściany, tym razem zewnętrzne, od wewnątrz zaś są niemożliwym labirantem drutów, schodów, przejść i korytarzy. Artyści przenoszą się z miejsca na miejsce, z piętra na piętro, reflektor rzuca światło na ten fragment sceny, który w danej chwili ma na sobie skupić uwagę widza. Jednakże w scenach zbiorowych, np. w dniu świątecznym przed kościołem uwadze mojej uszedł ważny moment pierwszego spotkania Fausta z Małgorzatą, gdyż przyciągnął ją właśnie inny fragment rozległej scenerii. Pole widzenia jest zbyt duże, obejmuje bowiem całą szerokość dziedzińca ujażdżalni i wysokość czterech kondygnacyj. Gdy oko jeszcze jako tako może objąć całe bogactwo szczegółów widowiska, ucho zaledwie w pierwszych rzędach zdoła pochwycić słowa. Małgorzatą była Paula Wessely, młoda wiedeńska artystka, popularna już i u nas od czasu filmu „Maskarada“.

Przedstawienie Fausta w Salzburgu w inscenizacji Reinhardta było świetnym widowiskiem stylowym. Ale w bogactwie realistycznych szczegółów zatarła się głębia przeżyć i zagadnień goethowskiego Fausta.

Trzecim wreszcie gwoździem festivalu i bodaj że największą atrakcją był maestro Arturo Toscanini, najznakomitszy chyba współczesny dyrygent, który od r. 1934 zaczął uświetniać swym współudziałem festyny muzyczne w Salzburgu. Już sama osobistość Toscanini'ego jest pełna uroku, jego wielka powaga i duma, pogarda dla wszelkiego efekciarstwa. Gest pałeczki szlachetny, dostojny, pełen przy tym energii i wyrazu. Wymowne są też ręce mistrza o długich palcach. Gdy prawa ręka jest jakby motorem napędnym, lewa odgrywa rolę tłumika i hamulca energii, którą rozpętała prawica. Toscanini dyryguje z pamięci, rezygnując nawet z własnego pulpitu i uderza swą pałeczką w pulpit koncertmistrza.

Z zapartym tchem wsłuchiwała się tysiącgłowa publiczność w czarowne tony zespołu Wiedeńskiej Orkiestry Filharmonicznej, ze swej strony urzeczonego przez geniusz mistrza i dopiero kiedy przebrzmiały ostatnie tony wspaniałego koncertu lub opery, mógł sobie słuchacz uprzytomnić, że dane mu było przeżyć chwile najwyższego napięcia woli dyregenta, naginającej orkiestrę do bajecznego wprost wyczynu precyzji i harmonii.

Nazwisko Toscanini'ego ściągało do Salzburga publiczność nie tylko bardzo liczną i doborową. Bilety na koncerty lub opery pod jego batutą rozchwytywano na całe miesiące naprzód, w pokątnym zaś handlu płacono potem po 200 szylingów za bilet, gdy najdroższe miejsce kosztowało 50 szylingów, co równało się 50 złp. (Już jednak za 6 szylingów były dobre miejsca siedzące, a za 3 — stojące. Należy przyznać, że w stosunku do wysokiego poziomu artystycznego ceny były niskie. „Festspielhaus“ posiada 306 miejsc po 10 szylingów i tyleż po 15, tak iż nie trzeba było być Krezusem, aby móc sobie pozwolić na tę najwyższą rozkosz muzyczną).

Na firmamencie festivalów Salzburskich błyszczały jeszcze gwiazdy o takim blasku jak Bruno Walter i Klemens Kraus obok wielu znakomitych solistów. Z nowego, tymczasowego, „sprostowanego“ programu na rok 1938 (Richtiggestellter Spielplan), jaki mam przed sobą, wszystkie one zniknęły z różnych względów. Toscanini ponieważ, jak dowcipnie napisał prof. Karol Stromenger, uznaje on totalizm jedynie w zespole orkiestrowym, Bruno Walter zaś dlatego, że mimo wielkiego artyzmu brak mu poniektórych rzeczy a także aryjskiej babki. Z tychże powodów zdyskwalifikowano Maksa Reinhardta z jego sensacyjnymi widowiskami „Jedermann“ i „Faust“, których nie ma również w nowym programie. Lecz przesadzone przez niego lipa i kwiatki w ogrodzie Małgorzaty dobrze się przyjęły na gruncie staroniemieckiej „Reitschule“ i będą beztrosko rosły i kwitły dalej, jako urocze wspomnienia z pierwszego, może już bezpowrotnie minionego okresu świetności Festivalów Salzburskich.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY

Nagrodę francuskiego tygodnika literackiego „Marianne“ w kwocie 10.000 frank., podwojoną w tym roku z inicjatywy członka jury, Colette, otrzymali dwaj autorzy: Jean Fontenoy za „Shanghai Secret“ i Paul-Emil Victor za „Boreal“, opowieść o zimie, spędzonej pośród Eskimosów.

Ośrodek Narodowy Badań nad Odrodzeniem (Centro Nazionale di Studi sul Rinascimento) wydaje kwartalnik „La Rinascita“ mający służyć idei rozpowszechniania i studiów nad Odrodzeniem bądź przez prace oryginalne, bądź przez dostarczanie wiadomości.

Od 26—30-go czerwca odbędzie się w Pradze jednocześnie ze zlotem „Sokoła“ Międzynarodowy Kongres związków literackich. Na czele delegacji polskiej Pen-Klubu stanie Jan Parandowski.

Instytut Studiów Romańskich (L'Istituto di Studi Romani) mający za zadanie wskrzeszenie języka łacińskiego, powołał do życia międzynarodowy organ informacyjny dla wszelkich zagadnień, związanych z nauką języka łacińskiego.

„Le Grand Prix del la Critique“ otrzymał Yves Gandon, nową zaś nagrodę za krytykę literacką, wyznaczoną po raz pierwszy przez Marcela Prevost, przyznano Mariuszowi Richard, krytykowi miesięcznika „Revue de France“ i świetnemu kronikarzowi „Toute Edition“.

Włoskie Towarzystwo Autorów i Wydawców (Società degli Autori ed Editori) wyznaczyło nagrodę im. Gabriela D'Annunzio w kwocie lirów 25.000, która będzie przyznawana kolejno raz w roku za tom poezji, powieści, dramatu albo opery.

Nagrodę Wikingów, ufundowaną przez norweską baronową Gundahl przyznano w r. b. Bernardowi Frank, b. kapitanowi okrętu wojennego za książkę „La Vergue“ (Reja).

Jak donosi „Edition“ z Ameryki sygnalizują ciekawy wynalazek G. M. Fincha. Jest nim dziennik mówiony. Będzie to zwykła drukowana gazeta, zaopatrzona w pasek, który nakłada się na gramofon.

MALARSTWO KAROLA HILLERA

Marian Minich

Na poprzedniej wystawie łódzkiego oddziału I. P. S. zwracały szczególną uwagę obrazy K. Hillera. Z tego względu Redakcja zwróciła się do dr. M. Minicha z prośbą o napisanie artykułu o tym malarzu, który drukujemy poniżej.

●

Niepodobna odmówić głębokiej słuszności Jerzemu Hulewiczowi, który w jednym ze swych wysoce kulturalnych artykułów poświęconych twórczości Karola Hillera, z okazji jego zbiorowej wystawy obrazów w warszawskim I. P. S., zorganizowanej przez Miejskie Muzeum Historii i Sztuki im. J. i K. Bartoszewiczów w Łodzi, nazwał ją „w swej rycerskości wspaniałą i imponującą, a przytem w Polsce bez precedensu", a ponadto dystansującą współczesną sztukę polską w malarskich możliwościach.

Sztuka Hillera, reprezentująca na wystawie ostatni dziesięcioletni odcinek czasu, była niewątpliwie widomym, wykładnikiem plastycznego bohaterstwa łódzkiego artysty. Z jednej bowiem strony, wbrew jego najgorętszym pragnieniom, by weszła swą treścią estetyczną w głąb szerokich mas, znajduje się ona, dzięki swym artystycznym wyżynom, w jakiejś iście dramatycznej dali od olbrzymiej większości polskiego społeczeństwa, wypierana nałogami i tradycjami, wywodzącymi swój rodowód ze sztuki epok ubiegłych, usankcjonowanymi wrogim jej pseudo-idealistycznym protekcjonizmem doby obecnej. Z drugiej strony pośród materialistycznej i wybitnie sensualistycznej koncepcji produkowanej w naszej sztuce masowo przetapia Hiller w szerokim kręgu samotności swą własną, odrębną rzeczywistość w gorącym tyglu swego serca, wydobywając na jaw coraz to nowe formalne melodie, coraz to nowe duchowe tony.

Jego działalność myślowa i uczuciowa tkwiła wprawdzie zawsze głęboko w otaczającej go rzeczywistości, jednak jego twórczy aktywizm walczył ustawicznie o swą świadomość, o pionowość w stosunku do bezwładu otaczającej go materii, której symbole prowadzi daleko w krainę abstrakcji, w sfery świata irrealnego. Ów podwójny żywot artystyczny malarza, oscylujący pomiędzy realną rzeczywistością, a podporządkowującym ją sobie światem abstrakcji, rozpoczyna się już przed laty, kiedy linia jego rozwoju wchodzi w fazę opartego na kubistycznych zdobyczach konstruktywizmu, gdzie przedmiot zostaje rozłożony na jego podstawowe elementy przy sublimacji barwnych wartości i sprowadzony do syntetycznej równowagi, obejmującej nową, odrębnie skojarzoną rzeczywistość.

Okres ten, poddany prawom stereometrii i planimetrii, pełen gry neutralizowanych, różnokierunkowych formalnych dynamizmów, cechuje pozorne zimno, które płonie pod osłoną czynników intelektualnych zapowiedzią nowych możliwości. Wychodzą one na jaw wtedy, kiedy artysta, poczyna rozluźniać więzy krępującej go konstruktywistycznej dyscypliny i staje się wyznawcą surrealistycznego indeterminizmu, pojętego w sensie bergsonowskiej filozofii, stawiającej na miejsce praktycznego, powierzchownego życia rozumu pozytywistycznego i utylitarnej wiedzy kult emocjonalności i irracjonalizmu, do których służby zaprzęga rolę intelektu, jako czynnika organizującego.

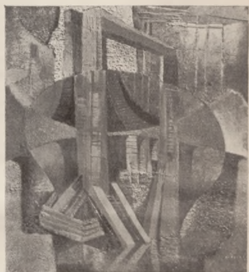
Przeciwstawia tedy Hiller statycznemu poglądowi na świat w coraz większym stopniu koncepcję dynamiczną, którą przepaja specyficznym romantyzmem tematycznym i ujęciowym, często, o podkładzie filozoficznym, socjalnym, biologicznym itd., nie porzucając atoli do końca swej twórczości elementów konstruktywistycznych, opartych na obiektywnej analizie kształtów rzeczywistych, trzymających na wodzy coraz bardziej pozornie z biegiem lat rozkiełzany świat stwarzanych form. Prowadzi z rzeczywistością ciche i wnikliwe rozmowy, stwarza jej symbole, przenosząc je w świat irrealnych wizyj intuitywną mocą, kierowaną rozumem instynktownym, przepajając swe twory organicznością i życiowym fluidem.

Jego kompozycje z zamkniętych w sobie, stają się coraz bardziej otwarte, dynamiczne, zmierzając ku coraz większemu rozbiciu materii, zadziwiając swą wynalazczością, technicznym opanowaniem, oraz zdolnością transpozycji swych wewnętrznych, uczuciowych emanacyj. Czynniki te dochodzą do najwyższego spotęgowania w latach ostatnich, zwłaszcza w utworach heliograficznych, gdzie rafinada formalnego kreacjonizmu dochodzi do najwyższego napięcia i największej finezji, gdzie wszystko rozgrywa się w jakimś nierealnym świecie marzeniowym, pośród dziwnych krystalizacji najróżnorodniejszych plastycznych rojeń, wśród najskrajniejszych kompozycyjnych akordów.

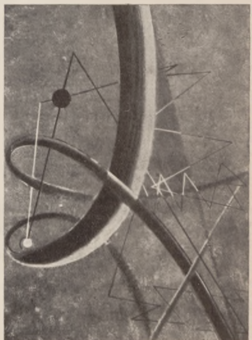
Hiller nie jest przy tym w swej bogatej, wybitnie inteligentnej twórczości, naśladowcą francuskich, czy też niemieckich artystów, nadających kierunek i ton sztuce europejskiej ostatnich trzech dziesiątków lat. Nie jest bezwolnym, snobistycznym przerabiaczem artystycznych tworów takiego Picassa, Legera, czy też Massona, Klee, Chirico, Miro, czy też innego artysty, dzierżącego sztandar tego czy owego kierunku. Nie jest też pseudomodernistycznym kłamcą, podważającym autorytet nowoczesnej (w sensie stylistycznym) polskiej sztuki. Wyrasta on, oczywiście, z epoki stworzonej przez jego wielkich poprzedników, łącząc się z nimi w sposób najogólniejszy w pewnych ideowych tendencjach. Posiada jednak przy tym swą własną, zupełnie odrębną fizjognomię artystyczną, swój własny świat w którym się porusza i swoje własne słońce.



Karol Hiller — Słonecznik
(Tempera r. 1934)



Karol Hiller — Rusztowania
(Olej 1937)



Karol Hiller — Kompozycja
(Heliografika r. 1935)

Piotr Choynowski. Opowiadania szlacheckie. Wyd. Gebethnera i Wolffa

Opowiadania te ukazały się jako pośmiertny laur, rzucony na trumnę Choynowskiego. Częściowo przedrukował je, a w reszcie z puścizny rękopiśmiennej dobrał wydawca. W ten sposób otrzymaliśmy sześć utworów, harmonijnie powiązanych w nastroju oraz w stylu i zestrojonych w tematyczną jedność. Całość ta zasadza się raczej na ujęciu pewnej epoki, niż na fabule; nie mniej jest wyraźna.

Czytelnik otwiera uwidocznioną przez Choynowskiego epokę dawności, mistrzowsko skomponowaną, bogato zaludnioną ludźmi o znakomicie zarysowanych charakterach, zasobną w barwną anegdotę. Język stanowi tu artyzm wysokiej klasy i dla tego rozdaju ambicyj reprezentować może całą szkołę. Przecież dzisiaj jest to już styl stosowany, dawno przeżyty, a jednak nie traci on stęchlizną — rozżywia wigorem, ujmuje bezpośredniością.

Wszystkie opowiadania, wskrzeszające świat szlachecki, są pełne że tak powiem Choynowskiego, odsłaniając przekonywująco powołanie pisarza. Każdy bowiem ma w sobie jakąś ukrytą strunę; rzecz tylko w tym, o ile silnie potrafi w nią uderzyć. Otóż Choynowski jest epikiem, emanującym czary szlacheczyzny jak nikt dzisiaj inny. Wiek XVII i XVIII ożyły w tej książce w całej bujności form, cnoty szlacheckie i przywary, pyszny obyczaj dawnych czasów mówią, wzruszają i uczą zmartwychwstałe.

Dlatego też ta ostatnia pozycja Choynowskiego jest pozycją najbardziej może znamienną: odsłania ona powołanie, indywidualność i styl. Definiuje Choynowskiego znakomicie. I, gdyby nie wielkie sąsiedztwo Sienkiewicza, może umieścilibyśmy autora „Opowiadań szlacheckich" na jeszcze bardziej poczesnym miejscu.

Tomik został wydany w sposób, który każdemu miłośnikowi książki sprawia prawdziwą radość. Każda rzecz — okładka, karta tytułowa, krój czcionek, ustawienie kolumny, zabarwienie papieru — jest tu doskonale pomyślana i wykonana. Koroną zaś ozdoby są wspaniałe drzeworyty oryginalne Stefana Mrożewskiego, nader pomysłowo ilustrujące tekst.

Na wstępie umieszczono mowę Ferdynanda Goetla, wygłoszoną na uroczystym zebraniu Polskiej Akademii Literatury z racji przyjęcia Choynowskiego w poczet członków. Mowa ta ujmuje zasadnicze linie rozwojowe twórczości pisarza, służąc za wstęp krytyczny.

Maria Czapska. Ludwika Śniadecka. Wyd. „Biblioteki Polskiej".

Ludwika Śniadecka, pierwsza miłość Juliusza Słowackiego i jego wieczny ideał, nie miała dotąd wyczerpującej biografii. Miłość dla obcego, wzgardzenie uczuciem poety, wreszcie związek z muzułmaństwem rzuciły na nią infamię, zepchnęły w niepamięć i bynajmniej nie zachęcały do rewindykacji bezsprzecznych jednak wartości, tkwiących w tej kobiecie. Niezwykłe dzieje Ludwiki Śniadeckiej czekały na bezstronne ujęcie.

Książka Marii Czapskiej, napisana wnikliwie i pięknym językiem literackim stanowi tedy pierwszą wyczerpującą biografię córki Jędrzeja Śniadeckiego, odtworzoną na podstawie archiwalnych materiałów rękopiśmiennych, ukrytych w bibliotekach i zbiorach prywatnych. Lektura tej pracy prócz satysfakcji estetycznej daje szereg pouczających informacyj, wiele istotnych wyjaśnień i rzeczowych faktów.

Pierwsza część obejmuje dzieje Ludwiki w Wilnie, jej dzieciństwo i młodość, spędzoną w atmosferze intelektualnie odrodzonego przez uniwersytet Wilna i pod wpływem budzącego się na Litwie romantyzmu. Druga — odtwarza ostatni okres Śniadeckiej, jej działalność polityczną na terenie Turcji jako współpracowniczki i żony Michała Czajkowskiego (Sadyk Paszy). Autorka kładzie tu silny nacisk na uczucia patriotyczne Śniadeckiej, mimo, że koleje życia tej niezwykłej kobiety dawały powód do odmiennego mniemania.

Książka jest bardzo estetycznie wydana, zilustrowana sztychami dawnymi, rysunkami i fotografiami oraz winietami.

Eustachy Czekalski. Arka przymierza. Wyd. „Płomień".

Rzecz Czekalskiego prócz walorów narracji beletrystycznej posiada pewną wagę dokumentaryczną: ujmuje i odtwarza fragment z życia emigracji polskiej na bruku paryskim. Jest chwila przed wojną; wielu ludzi przymusowo pałęta się po Paryżu, głoduje, ciężko walczy o byt, wreszcie konspiruje i marzy o Polsce. Z motywów tych jako zapładniających skorzystał autor, roztaczając całą galerię typów, malując sceny rodzajowe, utrwalając szczegóły bytowania polskiego środowiska niepodległościowego nad Sekwanną i łącząc je z odtwarzaniem tła francuskiego. Oczywiście, wydarzenia i postaci nie trzymają się granic ścisłego historyzmu, nie są upowieściowaną biografią tamtych czasów, raczej stanowią kompozycyjną podbudowę. Lecz pochwalić trzeba zwrócenie inwencji pisarskiej w tym właśnie kierunku. Statyści, politycy, naukowcy, pisarze i artyści polscy zjeżdżali nad Sekwanę przechowując tu znicz niepodległości duchowej i zaprawiając się do walk o wolność. Heroiczne te dzieje stanowią arcybogaty materiał dla literatury stosowanej: warto go beletryzować na użytek szerszego ogółu czytelników.

Pola Gojawiczyńska. Słupy ogniste. Wyd. J. Mortkowicza.

Jest to zaledwie pierwszy tom powieści, a już liczy zgórą 400 stronic i pęka od nadmiaru opisowości. Jak wiadomo, Gojawiczyńska celuje w realistycznym uchwycie życia, w kolekcjonerstwie drobnych spraw i rysów. Z tego jak ze zmarszczek na twarzy powstaje cała historia ludzkiego trudu. O ile jednak opisowość, natłok rzeczy codziennych przy wiernie podpatrzonych postaciach w takich „Dziewczętach z Nowolipek" czy „Rajskiej jabłoni" były dobrze osadzone w środowisku i pomnażały wiedzę o nim, to w „Słupach ognistych" zdają się być czymś niedostatecznie umotywowanym. Podrzutek Piotr robi dobrą (lecz nie bardzo przekonywującą) karierę — oto i cała historia. Czy warto poświęcać temu aż parę tomów? Opisując szczegółowo jak, co i dlaczego? Gdyby jeszcze autorka splotła tu temat z historycznymi wydarzeniami, gdyby uczyniła z niego problem epoki czy przekrój dobrze postawionego charakteru — ale tak grzeszy doprawdy nadmierna gadatliwością. Gojawiczyńska reprezentuje talent duży, doskonałość techniczną bez zarzutu, a to budzi tym większe wymagania.

Stefan Otwinowski. Marionetki. Wyd. F. Hoesicka

Powieść Otwinowskiego odtwarza życie aktorów teatralnych i rewiowych. Rama kompozycyjna: aktor jako człowiek odsunięty od życia unormowanego społecznie, a normy obowiązują dzisiaj więcej niż kiedyindziej, nie będąc przy tym twórcą w dosłownym znaczeniu, musi sobie szukać gruntu zastępczego. Gdyby tę myśl traktować jako dla danego pisarza zasadniczą, warto oczywiście sprzeczać się, czy sztuka odtwarzania jest bezpłodna czy też wchodzi w zakres twórczości. Lecz Otwinowskiemu na pewno nie o to chodzi: śledzi z zaciekawieniem rozchodzące się kręgi na wodzie, bez względu jaki kamień został rzucony. Ważne są twórcze konsekwencje, wszystko co pozwala szczepić piórem nowe sytuacje i wydarzenia.

Dla bohatera, wypełniającego sobą powieść w sposób pamiętnikarski, — aktora teatralnego, a potem rewiowego — tym podglebiem zastępczym jest fikcja twórcza, podpatrywanie własnego i obcego losu. Poznakowany margines wielkiej księgi. Inni nie mają takiej intensyfikacji wewnętrznej, poruszają tu każdym ruchem drobne namiętności z zewnątrz. Stąd też tytuł: marionetki.

Nowa powieść Otwinowskiego stanowi właściwie pamiętnik niewyżytego psychologizmu. Utajone drgnienia, ambicje i zmysły zalegają wnętrze człowieka jak niewyraźna rozkołysana mgła. Nawet uczucie najsilniejsze, miłość bohatera do cudownej Marty Bassley, nie nabrało kształtu wyraźniejszego.

Założenia i osiągnięcia tego rodzaju sztuki robią w danym wypadku wrażenie świadomych przemyśleń. Otwinowski to już talent wykazujący znaczne ambicje.

M. Van der Meersch. Inwazja roku 1934. Wyd. Współczesne

Przekładów Meerscha pojawiło się już na naszym rynku siedem, widocznie znajdują swoich czytelników. Talent pisarza belgijskiego zawiera się w granicach dość ciasnych: nieco brutalnego lecz artystycznie znakomicie poznanego naturalizmu. Najlepsze pod tym względem było „Piętno boże", przedstawiające życie przemytników na pograniczu francusko-belgijskim, za które też Meersch dostał nagrodę Goncourtów.

Obecna powieść nie ma w sobie nowych pierwiastków, nie poszerza skali omawianego talentu. Raczej Meersch eksploatuje zręcznie swoje możliwości, rutując się bogatą tematyką, stwarzającą pozór nowości. „Inwazja roku 1914" obrazuje pamiętne lata wojny; au-



Piotr Choynowski.—Drzeworyt St. Mrożewskiego



Drzeworyt St. Mrożewskiego z „Op. szlacheckich"

tor odtwarza je nie w ogniu pierwszego szeregu, lecz na tyłach. Tu motywy wojenne splecione zostały z obserwacją codziennego życia, skomplikowane o małość ludzką i zbrodnię, dziejące się obok prawie bohaterskiej wielkości. Nurt narracji żywy, pasja społeczna silna, opisowość jak zawsze celna i przejmująca w naturalistycznych szczegółach.

Sigur Elkjaer. Między morzem a fiordem. Wyd. Książnica Atlas.

Powieść Elkjaera brała udział w Międzynarodowym Konkursie Literackim, jaki miał miejsce w Londynie 1936 roku; reprezentuje ona wysokie szczyty współczesnej prozy duńskiej. Jest wyrazem tamtego życia i jego trosk; czytelnika zaś obcego pociąga na skutek swojego egzotyzmu. Ciekawością mianowicie jest tu przedstawienie bytowania wyspiarzy na odległej wysepce duńskiej. Na to egzotyczne tło rzucił autor dość interesującą fabułę: bohaterka powieści przeżywa w sobie zmagania, że tak powiem, żywiołu morza z duchem lądu. Odwieczny na północy problem — przywiązanie człowieka do ziemi i tęsknota za wędrówką po oceanach — Elkjaer podnosi na nowo w związku z losem dziewczyny, której uczucie waha się między młodym marynarzem, bywalcem mórz, a człowiekiem zasiedziałym na ziemi. Konflikt uczuciowy daje pisarzowi okazję do poruszenia istotnych na północy spraw i zobrazowania środowiska w jakim one powstają.

Ze względu na nasze zainteresowania morskie beletrystyka o tego rodzaju typie nie powinna być nam obca.

G. T.

Z ŻYCIA ŁODZI

50 PROFILÓW POETYCKICH

1

Doceniając znaczenie kulturalno-społeczne radiofonii i jej siłę propagandową, musimy zgodzić się na wyjątkową rolę radia w szerzeniu literatury wśród szerokich mas. Radio w szczytnej a niewątpliwie trudnej walce o podniesienie poziomu czytelnictwa staje się niezastąpionym, realnym współczynnikiem akcji kulturalnej. Zwłaszcza zaś w dziedzinie współpracy z literatami „młodszych roczników" oddaje mikrofon usługi niezmiernie cenne, stwarzając niejako pomost pomiędzy wybijającymi się talentami, a najszerszymi kołami społeczeństwa.

Kierownictwo programowe Rozgłośni Łódzkiej, pragnąc zrealizować w pełni program owocnej współpracy literatury z mikrofonem, stworzyło specjalny typ audycyj literackich, t. zw. kwadranse literackie; odcinki te konsekwentnie poświęcane są zagadnieniom akualnym o charakterze literackim, „profilom poetów", którzy bardzo często w ten sposób po raz pierwszy nawiązują kontakt z publicznością. Audycje te — poprzedzane zazwyczaj „słowami wstępnymi" — zarysowują w syntetycznym przekroju — w żywej formie recytacji (solowej lub nawet w formie dwugłosu) — profil poety, zbliżając go szerokim sferom radiosłuchaczy.

2

Z górą od 2-ch lat prowadzona ta akcja dała w sumie osiemdziesiąt kilka „profilów". Zważywszy, że pewien procent audycyj literackich odpada na felietony, dalej, że pewne nazwiska powtarzają się, trzeba przyjąć sumę około 50 profilów, słowem 50 nazwisk poetów zbliżonych sugestią mikrofonu — społeczeństwu. Były w tym legionie nazwiska znane chlubnie w Polsce jak Pawlikowska, Wierzyński, Staff, Leśmian, Bąk itd., były i takie, które znane są dobrze na terenie rejonu łódzkiego, znalazły się jednak i takie, które w ten sposób — w formie mikrofonowej zdobywały dopiero „ostrogi poetyckie", że wspomnimy tylko dla przykładu, Antoniego Kasprowicza.

Ta „żywa biblioteka poetów", którą stworzyła Rozgłośnia Łódzka zyskuje sobie coraz większą z dniem każdym popularność — i coraz częściej przychodzą do głosu młodzi pisarze. Jest to realne przymierze mikrofonu z poezją. Dzięki też temu, co jest godne podkreślenia, powiększa się kadra recytatorów i stwarza się bazę kultu żywego słowa w środowisku robotniczym.

Lista poetów dobierana jest w ten sposób, by nurt poezji zrytmizowany był z nurtem miasta, z aktualnym tętnem rejonu łódzkiego. To harmonizowanie tematyki poetyckiej z pulsem mikrofonu uznać trzeba za społeczny nakaz i postulat rzeczywistości. W tym przejawia się funkcja społeczna radia.

3

Te „audycje literackie" (nadawane lokalnie) nie wyczerpują oczywiście możliwości Rozgłośni Łódzkiej w tej dziedzinie. Jest jeszcze poważna forma działania literackiego poprzez mikrofon — to poezjomontaże nadawane tak na fali ogólnopolskiej, jako też i w zasięgu lokalnym. Tu Łódź — dzięki usilnej pracy zespołowej zdobyła poważne miejsce na fali. Można nawet śmiało powiedzieć, że Rozgłośnia Łódzka wyspecjalizowała się w tym rodzaju audycyj, zdobywając coraz częściej odcinki programowe ogólnopolskie o tym właśnie charakterze montaży poetyckich. Wystarczy, zdaje się, przypomnieć takie audycje ogólnopolskie, jak „Cztery pory roku" (audycja słowno-muzyczna), „Sceny leśne" i t. p., by zakończyć tę listę — poezjomontażem „Wolność tragiczna" (nadano dnia 12 V. b.r.).

To uzupełnienie—mimo, że nie mieści się ściśle w zakreślonym tytułem temacie—uważamy za słuszne, gdyż zezwala ono zdać sobie sprawę w zawrotnym oczywiście skrócie—z prac Rozgłośni Łódzkiej w dziedzinie poezji.

Kończąc — dorzucę jeszcze jeden przykład — to radiofonizacja wielkich utworów dramatycznych, które zrealizowano już to przed mikrofonem łódzkim jak np. „Pretendenci do tronu" Ibsena już to dzięki inicjatywie łódzkich ludzi radia przed mikrofonem warszawskim jak „Kleopatra" Norwida.

Ale te odcinki wymagają specjalnego naświetlenia. A więc szerzej o tym — przy innej sposobności.

Jerzy Ronard-Bujański

Ponieważ autor artykułu ze zrozumiałych zresztą względów pominął własną rolę w montowaniu literackiego programu Łódzkiej Rozgłośni, poczuwamy się do obowiązku zaznaczyć, że rola ta jest znaczna. Temu, a również współpracy literatów łódzkich zawdzięczać należy dodatni bilans na naszym odcinku radiowo-literackim.

Redakcja

RUCH MUZYCZNY

Zdawać by się mogło, że Łódź to teren najmniej może podatny dla krzewienia kultury muzycznej. Tak jednak nie jest, świadczy o tym nader poważna zwłaszcza w ostatnich czasach intensywna działalność czynników muzycznych naszego miasta. Melomani łódzcy nie mogą narzekać na brak wartościowych imprez muzycznych. Nie mówiąc już o koncertach artystów zagranicznych, którzy podczas tournée zagranicznego po Polsce nieomal zawsze koncertują i w Łodzi (France Ellegaart, Szigetti, Neveu i inni), cały szereg nader ciekawych produkcji muzycznych zawdzięczać możemy również miejscowym artystom i orkiestrom. Jest rzeczą szczególną, że ostatnio na przykład mimo braku odpowiednich stałych funduszów na ten cel powstały dwie nowe orkiestry w Łodzi, które mimo niedawnych swych narodzin wykazały się już nader poważnym dorobkiem artystycznym. Mowa tu o orkiestrze symfonicznej Związku Muzyków Chrześcijan (obok istniejącej od dawna orkiestry filharmonicznej) i o orkiestrze radiowej t. zw. rozrywkowej, której koncerty nadawane są już od przeszło roku na fali ogólnopolskiej. Na ostatnim koncercie symfonicznym dyrygował przybyły z Warszawy O. Straszyński.

Na razie zresztą koncerty te noszą charakter dorywczy i zależne są od szeregu innych warunków. Wielu spośród muzyków zawodowych w poszukiwaniu stałego zarobku, zapewniającego im byt, pracuje w fabrykach, warsztatach lub biurach. Często bezpośrednio po swej pracy zarobkowej przychodzą wprost na próby. Ręce sforsowane ciężką pracą przy maszynie lub w warsztacie muszą teraz subtelnie wyczuć instrument. Zadanie trudne, a jakże miłe dla każdego prawdziwego z „duszy" muzyka. Zapewne, że z braku odpowiednich ćwiczeń na swoim instrumencie zatraca się wprawę swobodnego operowania nim, ton staje się surowy, a technika zawodzi, lecz na pomoc przychodzą szczere chęci dobrego mimo wszystko wywiązania się ze swego zadania i wskazówki natury artystycznej dyrygenta.

Na uwagę zasługują również poranki urządzane dla młodzieży szkolnej w salach szkolnych. Wykonawcy przeważnie miejscowi. Poranki takie mają niezmiernie doniosłe znaczenie dla krzewienia zamiłowania do muzyki dobrej. Tutaj chodzi już nie tylko o wiadomość o muzyce, ale i o poznanie jej i o praktyczne nauczenie się słuchania. Na wstępie odbywa się zazwyczaj popularna pogadanka w formie przystępnej dla młodych słuchaczy, podczas której zapoznają się oni z utworami największych mistrzów w pewnym porządku w związku z historią muzyki wraz z objaśnieniem, jaki wpływ wywarł dany kompozytor, jakie są właściwości jego stylu, jaki był zakres jego działalności i td.

Obecnie z rozpoczęciem okresu letniego kończą się koncerty poważne i królować będzie przeważnie muzyka lekka. Nie znaczy to, by była ona bezwartościowa, przeciwnie odpowiednio wykonana potrafi dać wiele miłych przeżyć. Radio, rozumiejąc to dobrze, zmontowało już szereg audycyj, utrzymywanych w tym charakterze, a zapewniających przyjemną i pogodną rozrywkę dla każdego.

W czerwcu świat muzyczny w Łodzi przeżył wzniosłą uroczystość odsłonięcia pomnika Moniuszki w parku im. Ks. Poniatowskiego. Jest to dowód, że społeczeństwo nasze coraz więcej zdaje sobie sprawę z tego, że szerzenie kultury muzycznej i propagowanie zamiłowania do pieśni rodzimej jest ważnym czynnikiem w dorobku duchowym ogółu.

Pomnik Moniuszki, jako symbol muzyki i pieśni polskiej staje w mieście kominów, a zarazem poważnego ośrodka całego szeregu zespołów chóralnych większych lub mniejszych, których praca i jej rezultaty najlepiej świadczą o wielkim zamiłowaniu najszerszych warstw społeczeństwa do pieśni.

Należy mieć nadzieję, że w przyszłości poczynania, zmierzające do propagowania kultu dla sztuki nie pójdą na marne, a wyniki tych poczynań dadzą pożądane owoce.

Bronisław Nagujewski

SPRAWY KULTURALNO-OŚWIATOWE

W maju b. r. odbyło się w obecności przedstawicieli rządu z wicepremierem Kwiatkowskim na czele i społeczeństwa łódzkiego uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego pod budowę nowego gmachu Miejskiej Biblioteki Publicznej w Łodzi im. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Inicjatywa tej budowy jak i fundusze wyszły z kół przemysłowych Łodzi, które, przeznaczając w maju 1935 roku pół miliona złotych na fundację nowej instytucji oświatowej imienia Marszałka Józefa Piłsudskiego, uczciły w ten sposób pamięć Wielkiego Zmarłego.

Z satysfakcją powitać należy obywatelski czyn przemysłowców. Na odcinku oświatowym Łodzi budująca się nowoczesna biblioteka zajmie ważną i niezbędną pozycję, stanowiąc dla szerokich warstw naszego miasta pierwszorzędne źródło kształcenia. W ślad za troską przemysłowców o najnowocześniejszy w Polsce gmach pójdzie też chyba dbałość obecnych gospodarzy miasta, aby i księgozbiory mogły być wzbogacone należycie i sprostały najwyższym wymaganiom.

W mieście o dość świeżej jeszcze tradycji, jakim jest Łódź, wychowywanie robotnika za-

równo w skali zawodowej jak i ogólniejszej stanowi sprawę specjalnie doniosłą.

Szczególne uznanie budzi tu Pracownicze Towarzystwo Oświatowo-Kulturalne im. Stefana Żeromskiego w Łodzi, pozostające pod pieczołowitą prezesurą znanego szermierza spraw robotniczych sen. Karola Algajera, a pod sprawnym kierownictwem Roberta Deringa. Realizując swe założenia w dziedzinie oświaty dla robotników, Towarzystwo uruchomiło w lutym b. roku Uniwersytet Społeczny im. St. Żeromskiego, którego program obliczony był na 20 dni wykładowych.

Cykl pod hasłem „Ludzkość w pochodzie dziejowym" miał na celu obiektywne naświetlenie zasadniczych procesów politycznych, gospodarczych i społecznych, jakie dokonywały się na przestrzeni stuleci. Wykłady te cieszyły się dużą frekwencją i przeszły w atmosferze ogólnego zainteresowania.

W końcu maja odbyła się oficjalna uroczystość zakończenia prac Uniwersytetu Społecznego przy udziale przedstawicieli władz państwowych instytucyj samorządowych, wykładowców i słuchaczów, oraz członków P. T. O. K. Bilans prac, sporządzony przy tej okazji w poszczególnych przemówieniach, wypadł w zupełności dodatnio.

Placówka ze względu na swoje duże znaczenie wychowawcze wśród szerokich mas zasługuje na dalszą uwagę i pomoc.

PRZEGLĄD PRASY

W numerze 3 „Ateneum" Rafał Blüth w artykule p. t. „Powrót żeglarza" zastanawia się nad zagadnieniem narodowym w „Korsarzu" J. Conrada. Występowanie tego zagadnienia widzi autor w powtórzeniu i tu jeszcze — czyli w „Korsarzu" — problematyki zawinionego osamotnienia, zagubionego i marzącego o powrocie żeglarza. We wspominanej powieści Conrada ów powrót dzieje się poprzez śmierć, poprzez odkup etyczny.

W numerze 8 „Kameny" Ignacy Fik bada momenty statyczne i kinetyczne w wierszu — w artykule pod tymże tytułem. Do niedawna — stwierdza — panowała hipertofia kinetyzmu. „Człowiek stał się kłębowiskiem odruchów gestów, doznań, w których grzebano kijem psychoanalizy ciesząc się, że wszystko się rusza". Dopiero czasy późniejsze zrównoważyły tę skrajność uwzględnieniem momentów statycznych.

Numer 21 „Tygodnika Ilustrowanego" poświęcony został Słowacji. Znajdujemy tu prace autorów słowackich o dziejach Słowacji, sztuce, literaturze, teatrze i muzyce. — W numerze 23 tegoż pisma Jan Emil Skiwski w artykule p. t. „Anarchia form literackich" zastanawia się nad ewolucją, jaką przechodzi dzisiajsza powieść, rozszerzając swoje możliwości. „Uderza nas łatwość, z jaką powieść wchłania różne elementy, którymi dawniej, albo wcale się nie posługiwała albo tylko dorywczo i nieśmiało.

„Pion" drukuje w ostatnich numerach nagrodzone na urządzonym przezeń konkursie literackim utwory. Nadto numer 22 przynosi przemówienia prof. A. Tretiaka i W. Hulewicza, wygłoszone na wieczorze wręczenia nagród za najlepsze tłumaczenia z poezji niemieckiej, francuskiej, angielskiej oraz rosyjskiej — i same przekłady.

W numerze 159 „Gazety Polskiej" Grzegorz Timofiejew w obszernym artykule p. t. „Kanica wielkiego miasta" omawia ciekawy debiut powieściowy Władysława Powlaka. „Trzeba było — czytamy — by zjawił się w Łodzi taki prozaik. Ziemia łódzka, obfita w pieniądz i ludzką pracę, wydawała ostatnimi czasy plon wyłącznie poetycki... Od czasu powieści Reymonta nie pojawił się żaden większy utwór. Tymczasem „ziemia obiecana" czekała na ostre pługi talentów, które by ją do głębi pruły i wywracały, obnażając korzeniaste plątawisko namiętności ludzkich, bezcenne krusze prac i ukryte a przecież dyszące głośno źródła wielkości"! Krytyk nie twierdzi, by Pawlak zadaniu temu podołał w całości, ale na odcinku robotniczym dokazał wiele odtwarzając niejako szarą bezimienną epopeję". Na tle wnętrz mieszkalnych w kamienicy wielkiego miasta, jakich jest wiele w Łodzi, rozsnuł wielkie i małe sprawy środowiska robotniczego. „Wszystko co ludzkie zostało w tym zasięgu pomieszczone, każdy gest odciśnięty w pamięci, słowo zanotowane". Pawlak potrafił nadać swym obserwacjom formę powszechności. „Każde otwarcie drzwi odmyka tu uwagę całej kamienicy; każda rzecz jest wspólnym wzruszeniem i przeżyciem". — Przechodząc do oceny formalnej powieści Pawlaka, Grzegorz Timofiejew zauważa: „Sceny zbiorowe udały się autorowi najlepiej i owe sytuacje międzyludzkie międzyosobowe utrwalone w dobrze zaobserwowanym geście i mowie. Język żywy, soczysty, barwny w anegdotę. Jakoś sam po stronicach się toczy".

„Kurier Łódzki" wzbogacony został w ostatnich czasach o co dwutygodniowy „dodatek literacki", redagowany przez miejscowy Komitet Polonistyczny. Jest to trybuna pożyteczna i wartościowa w rozważania. Doc. dr. Stefania Skwarczyńska dyr. Tadeusz Czapczyński, Jan Zygmunt Jakubowski, Mieczysława Romankówna oraz inni podejmują i naświetlają najrozmaitsze problemy z zakresu literatury i naszego życia literackiego; od czasu do czasu ukazuje się twórczość oryginalna.



Otto Axer — Portret Ireny Eichlerówny

Z okazji 10-lecia istnienia „Głos Poranny" wydał specjalny numer jubileuszowy, w którym wybitni łodzianie, ci wreszcie, którzy w Łodzi pracowali, artyści i społecznicy zwierzają się ze swego stosunku do miasta. Numer zredagowany żywo, zawiera wiele ciekawego, a niekiedy dokumentarycznego materiału. Z artystów i pisarzy wypowiadają się: Tuwim Wittlin, Znicz, Artur Szyk, Zelwerowicz, Gorczyński, Jaracz, St. Wysocka, L. Schiller, Adwentowicz, Węgierko, Paweł Klecki i inni.

RÓŻNE

SPROSTOWANIE

W drugim numerze „Wymiarów" w artykule E. Ajnenkiela — „Józef Piłsudski — Pisma zbiorowe" na stronicy 34, w pierwszej szpalcie, w 18 wierszu od góry wydrukowano „Pogwarki historyczne" a winno być „Poprawki historyczne".

NADESŁANE

Ateneum, nr. 3.

Eugeniusz Ajnenkiel. Dr. Stefan Kopciński, realizator powszechnego nauczania w Łodzi. Łódź — 1938.

Jan Brzękowski. Nuits végétales. G. L. M. Paris 1938.

Czesław Garda. Konfrontacje. Łódź 1938.

Bogdan Grzymała-Kamodziński. Wieczność świecąca. Warszawa 1938. F. Hoesick.

Jan Huszcza. Ballada o podróżnych. Wilno 1938. Nakł. oddz. wileńsk. Związku Zawodowego Literatów Polskich.

Kamena, rok V nr. 8.

Kultura, nr. 20 (108); 21 (109), 22 (110); 23 (111).

Stefan Napierski. Chmura na czole. Warszawa. Biblioteka „Ateneum" nr. 3.

Antoni Pączek. Polska rzeczywistość teatralna i łódzka. Łódź 1938.

Aleksander Rosenberg. Zbiory rękopiśmienne miejskiego muzeum Historii i Sztuki im. J. i K. Bartoszewiczów w Łodzi. Łódź 1938. Nakł. Zarządu Miejskiego.

Adam Szczerbowski. Bolesław Leśmian. Zamość 1938.

Jan Smrek. Wybór poezji w przekładzie K. A. Jaworskiego. Mała bibiloteka „Kameny". Chełm Lub. 1938.

Alfred Kowalkowski. Dal Widziana. Biblioteka Rady Artystycznej. Bydgoszcz 1938.

Wolfgang Jünger. Walka o kauczuk. Książnica Atlas Lwów. Warszawa 1938.

TREŚĆ TRZECIEGO NUMERU „WYMIARÓW"

Kazimierz Czachowski — Aleksander Świętochowski

Tadeusz Sarnecki — Walka o człowieka

Jerzy Andrzejewski, Jan Brzękowski, Józef Czechowicz, Adam Galis — Dokąd zmierza młoda literatura?

Józef Czechowicz — Rymy pobożne

Stanisław Rembek — Na tyłach

Jan Wojtyński — Łódź promienieje... czynami i ludźmi

Wacław Rogowicz — „Kamienica wielkiego miasta" Pawlaka

Władysław Pawlak — Jak zostałem powieściopisarzem?

Grzegorz Timofiejew — Odkrywanie Łodzi

Ankieta „Wymiarów" n. t. „Czy nagroda m. Łodzi na być lokalna?" (odpowiadają E. Ajnenkiel, M. Minich, K. Sowiński)

Mieczysław Lisiewicz — Nocna przygoda

Krzysztof Wencel — Współczesna poezja hiszpańska (II)

Antoni Machado — Z cyklu „Galerias"

Aleksander Czyżewski — Boczny tor literatury

Ewaryst Płonka — Gwoździe festiwalów salzburskich

Wiadomości z zagranicy

Marian Minich — Malarstwo Karola Hillera

G. T. — Przed oknem księgarni

Z życia Łodzi

Przegląd prasy

Różne

Konkurs literacki

W tekście pomieszczone są liczne reprodukcje ze współczesnej plastyki i rzeźby, drzeworyty oraz zdjęcia ilustracyjne.

●

„Wymiary" ukazują się co miesiąc, prócz lipca i sierpnia. Cena numeru pojedyńczego zł. 1.— Prenumerata kwartalna zł. 2.50; roczna zł. 9.— Należność za prenumeratę wpłacać trzeba załączonym przekazem rozrachunkowym.

KONKURS NA NOWELĘ i WIERSZ

Redakcja „Wymiarów" w porozumieniu z Zarządem Miejskim w Łodzi ogłasza konkurs na nowelę i wiersz ze szczególnym uwzględnieniem tematyki łódzkiej. Konkurs trwa do końca grudnia r. b.

Ogólna suma nagród wynosi 700 zł

(Redakcja czyni starania o zwiększenie tej kwoty).

Jury: delegat Polskiej Akademii Literatury, Karol Irzykowski; profesor Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego, Julian Krzyżanowski; delegat Zarządu Głównego Związku Zawodowego Literatów Polskich, Jan Nepomucen Miller; prezydent m. Łodzi, Mikołaj Godlewski; prezes Syndykatu Dziennikarzy Łódzk., red. Czesław Gumkowski; redaktorzy „Wymiarów": Tadeusz Sarnecki i Grzegorz Timofiejew.

WARUNKI KONKURSU:

Rozmiar noweli nie może przekraczać 5—6 stron maszynowego pisma (z jednowierszowym odstępem). Rozmiar wiersza nie może sięgać ponad 100 linijek.

Materiał do konkursu musi być starannie przepisany na maszynie i oznaczony przy tytule wybranym godłem. Nazwisko posiadacza godła winno być załączone w zapieczętowanej kopercie, oznaczonej danym godłem.

Do materiału na konkurs należy załączyć 3 kolejne kupony z numerów majowego, czerwcowego i wrześniowego „Wymiarów", uprawniające do udziału w konkursie.

Korespondencję należy przesyłać pod adresem: „Wymiary", Łódź, Sienkiewicza 35, m. 12 „Konkurs literacki".

REDAKTOR I WYDAWCA: *Tadeusz Sarnecki*

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: *Łódź, Sienkiewicza 35, m. 12. Tel. 158-08*

Konto w K.K.O. m. Łodzi Nr. 609

DYŻURY REDAKCJI I ADMINISTRACJI: *we wtorki każdego tygodnia od godziny 19 do 21*

Odbito w Zakładach Graficznych J. K. Baranowskiego w Łodzi, ulica Piotrkowska 111. Telefon 138-60